Wkrótce nowa powieść!

Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta!

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 7 kwietnia 1935 r. Nr. 14.



TAJEMNICA

Pląsze się słodkich marzeń, snów wątek,
Jak złoty blask w słonecznej iskierce,
I codzień więcej cichych, głębokich
Tajemnic chowa dziewczęce serce.

I coraz więcej dziwnej tęsknoty
Wkrada się codzień w myśli różaniec,
Chociaż dziewczęcych zawsze zadumań
Od świata grodzi tajemnic szaniec.

I mknie, jak dawniej, czas wartkim pędem,
Napozór w życiu nie jest inaczej,
Tylko znak uczuć swych rączka biała,
Gdzieś na wierzbinie samotnej znaczy.

— — — — — — —

Lecz świat nie dowie się nigdy o tem...

Marja Zemmlerówna.

MARJA REUTT

Co silniejsze?

„Czyli Miłość czy obowiązek"

7.

— Niedobrze jest — potwierdził, a patrząc na pobladłą twarz i wystraszone oczy dziewczyny, dodał uspokajająco:

— Niebezpieczeństwa jeszcze niema, ale choroba poważna.

* * *

Nel wrócił do domu późnym wieczorem.

Wiadomość o chorobie matki przejęła go bardzo. Zastał w gabinecie doktora, który udzielił mu informacji.

— Stan ciężki, powikłania sercowo-nerwowe. Spokoju jej potrzeba, żadnych wzruszeń, zmartwień.

— Zostanę na noc, mogą ataki wrócić i zastrzyki będą potrzebne. —

Nel wszedł do sypialni matki. Poznała go, gdy się nachylił nad nią i uśmiechnęła się do niego. Oczy jej patrzyły na syna badawczo.

Pochylił się nad nią i pocałował w policzek.

— Wszystko będzie dobrze, mamusiu, tylko nie choruj.

Ataki znów się powtórzyły. Nie spał do rana Nel, nie spała i Helenka.

Razem siedzieli przy chorej, razem pomagali doktorowi w zabiegach. Poszli do siebie dopiero, gdy chora poczuła się lepiej. Helenka położyła się na sofkę, lecz spać nie mogła. Rozmowa z Romą i nagła choroba ciotki wstrząsnęła nią do głębi. Widmo bezdomności i całkowitego sieroctwa zajrzało jej znów w oczy i przeraziło.

Nel zasnął odrazu snem ciężkim bez marzeń i wizji sennych. Obudził się koło południa. Zadzwonił na lokaja i gorączkowo zapytał jak się miewa matka.

— Jaśnie pani dużo lepiej. Doktór odszedł, panienka z panną Emilją jest u niej.

Wziął kąpiel i prysznic, ogolił się, ubrał i poszedł do chorej.

Nie spała i z twarzy jej ustąpiła już ta śmiertelna bladość.

Helenka podniosła się z miejsca i wyszła z pokoju. Emilja wysunęła się jednocześnie.

— Nastraszyła nas mamusia...

Pogłaskała go po dłoni z pieszczotą — sama się nastraszyłam — szepnęła.

— — — — —

Po południu przyjechała Roma strojna, świeża, płonęła. Z udanem współczuciem wyciągnęła do niego ręce.

— Nel, biedny Nel, tak się szczerze zmartwiłam chorobą twej matki — Doznała zawodu. Zbladł, przez oczy przeszła mu chmura wzruszenia, ale usta nie odpowiedziały serdecznością, nie obsypywały pocałunkami wypieszczonych rączek dziewczyny. Uścisnął je lekko i puścił.

— Dziękuję Ci, wystraszyłem się stanem mamy nie na żarty. — Ale już lepiej.

Podsunął jej fotel i zadzwonił.

— Poprosić pannę Helenę — rozkazał lokajowi.

Lokaj wrócił sam.

— Panienka przeprasza, przyjść nie może, jest u jaśnie pani.

Roma nie bawiła długo.

Czuła się zawiedziona. Spodziewała się, że weźmie ją w ramiona, że obsypie pocałunkami, a spotkała się z powściągliwą uprzejmością i nic więcej. Wołał Helenę, on, który zazwyczaj szukał z nią sam na sam.

Łez bliska, rozżalona, obrażona siadła do powoziku.

Co mu się stało? myślała, gryząc wargi i marszcząc brwi.

Co go tak zmieniło? biedziła się, nie mogąc odgadnąć prawdziwego powodu.

— — — — — —

Po wyjeździe Romy Nel poszedł do parku.

Musiał się uspokoić, musiał uciszyć wzburzone nerwy i bijące silnie serce.

Czemu ona nie umarła — oburzył się w duszy na Helenkę, żyjąc, zniszczyła jego szczęście.

Myśl ta była tak nagła i niespodziewana, że przeraziła go swem bezwzględnem egoizmem.

Życzył śmierci niewinnej dzieczynie z osobistych czysto egoistycznych pobudek. A gdyby tak jego myśl miała siłę zabijającą. — Czytał niedawno rozprawę metafizyczną. Autor broszury cytował fakty zabijania myślą na odległość.

Jezus, Marja! — zerwał mu się z ust okrzyk przerażenia, a czoło zrosił pot.

Zawrócił do pałacu i wszedł do saloniku.

— Poprosić do mnie pannę Helenę — rzucił rozkaz lokajowi.

Weszła blada, mizerna, nikła w gładkiej białej sukience, z ciemnemi kręgami zmęczenia pod oczami.

— Wołałeś mnie? — pytała od progu, zdziwiona wezwaniem.

— Prosiłem cię tutaj, gdyż nie wiedziałem, gdzie cię szukać, a chciałem z tobą pomówić.

Stała naprzeciw niego zaskoczona jego słowami.

— Czy zgodziłabyś się zostać moją żoną?

Osłupiała. Błędnemi ze zdumienia oczami wpatrzyła się w niego, nie wierząc uszom. Długo nie mogła wydobyć głosu ze ściśniętej krtani. Wreszcie wyjąkała.

— A Roma? a ciocia?

Odpowiedział przez zaciśnięte zęby:

— Roma nie wchodzi w rachubę. A mama.... zatrzymał się, jakby dalsze słowa uwięzły mu w gardle.

— Mama chce bardzo tego związku...

Popatrzyła na niego bezradnie i odpowiedziała z prostotą:

— Jeżeli ciocia nie ma nic przeciwko temu.....

Wziął ją za rękę. — Chodźmy do mamy...

Chora leżała cicha, biała jak opłatek, tylko jej ciemne oczy paliły się jakiemś niewyrównanem pragnieniem.

Na widok wchodzących uśmiechnęła się rzewnie.

Uklękli przy jej łóżku. Nel nachylił się nad matką.

— Pobłogosław nam...

Z trudem podniosła rękę na głowę syna.

Błogosławiła im duszą, a z oczu jej toczyły się łzy.

Pierwszy podniósł się Nel, nachylił się nad matką.

— Zrobiłem jak sobie życzyłaś, tylko wyzdrowiej nam jak najprędzej.

Uśmiechnęła się blada do syna, a oczy jej mówiły mu o jej bezgranicznej miłości do niego.

— — — — — —

W nocy powtórzył się znów atak.

Rano zostało zwołane konsyljum. Wezwano doktorów z Warszawy, uczonych profesorów, znanych specjalistów.

Stan był groźny. Choroba zadawniona, nieleczona zapuściła głęboko w organizm swe zjadliwe macki.

— Może jeszcze wyleczyć się, ale może również nastąpić nagle, niespodziewanie katastrofa — orzekli z namaszczeniem.

Po odjeździe doktorów pani Dworanowiczowa zapragnęła zobaczyć się z synem.

— Nel — wyszeptała, gdy przyszedł i pochylił się nad nią — zrób to dla mnie i weź ślub z Helenką dziś jeszcze, przy moim łóżku. Mam wrażenie, że niedługo już pobędę z tobą...

Przeraził się tem żądaniem. — Wziąć ślub tak odrazu bez przyzwyczajenia się do tej myśli?

Chciał odpowiedzieć odmownie, bronić się przed tą koniecznością, odwlec ją, ale oczy matki błagały.

Pochylił głowę na znak zgody, pocałował jej rękę, leżącą nieruchomo na kołdrze i wyszedł.

Na korytarzu zawahał się. Musiał odszukać Helenkę, by uwiadomić ją o życzeniu matki, a nie był pewny, gdzie znajduje się jej pokój.

Ułatwiła mu sama to zadanie, bo ujrzał ją wychodzącą z narożnego pokoju.

Ujrzawszy go zaróżowiła się jednostajną czerwienią, nietylko nie zdobiącą jej, a nadawającą całej jej twarzy wyraz przestrachu, czy też zaskoczenia, zakłopotania i bezradności.

I to ma być moja żona — pomyślał z przykrością. Przemógł się jednak, zgniótł w sobie to uczucie poirytowania i odezwał się łagodnie:

— Helenko, mamusia chce byśmy się jeszcze dziś pobrali.

Zbladła i przerażenie odbiło się w jej oczach.

— Dlaczego? Czy tak jest źle z nią?

Kiwnął głową. — Boję się, że czuje się niedobrze. Doktorzy uważają stan jej za groźny.

Załkała krótkim, wewnętrznym szlochem. Zmogła go odrazu, opanowała, tylko w oczach pozostał strach i ból.

— No więc jak? Zgodzisz się na ślub jeszcze dziś popołudniu?

— Jeżeli to cioci przyniesie zadowolenie i ulgę — odpowiedziała wahająco.

— A więc dobrze — powiedział krótko, zawracając ku schodom.

— — — — — —

Gdy siadał do samochodu, by jechać do księdza dla załatwienia formalności, stanęła przy nim pielęgniarka.

— Pani prosi, żeby ksiądz przyjechał z Panem Jezusem, bo przed ślubem chciałaby pojednać się z Bogiem.

Po twarzy Nela przeszedł skurcz bólu. — Więc, aż tak się źle czuje.

— Dobrze — rzucił przez zęby, ujmując za kierownicę.

* * *

W samo południe przyjechała Roma. W Stachowie wiedzieli już o nagłej chorobie pani Dworanowiczowej, więc wydelegowali Romę, by odwiedziła Zadory i dowiedziała się o postępach choroby. Lokaj zaprosił ją do amarantowego saloniku i poszedł szukać Helenki.

Przyszła odrazu, pobladła z zaczerwienionemi oczami i nosem.

— Co się stało? — pytała jej Roma. — Czy nastąpiło pogorszenie?

— Zachorowała — jak wiesz — nagle pięć dni temu na serce. — Narazie było źle, potem lepiej, a teraz znów gorzej. Doktorzy utrzymują, że już dawno miała serce nie w porządku, ale nie chciała się leczyć, zaniedbała...

— Gdzie Nel — zagadnęła Roma, rozglądając się dokoła.

Poczerwieniała Helenka. Nie lubiła kłamać, a prawdy mówić narazie nie chciała.

Odpowiedziała wymijająco: — Pojechał do miasta, musiał, wezwały go tam nagłe sprawy. Kiedy wróci, nie wiem.

Romie przykra była myśl, że ta obca jej, obojętna Nelowi dziewczyna jest lepiej wtajemniczona w sprawy Nela, niż ona, kochana przez niego, prawie że narzeczona, a wkrótce może i żona. Spojrzała na nią z urazą i niechęcią. Wstała.

— Powiedz Nelowi, że proszę go bardzo, by zajechał dziś do mnie wieczorem jak wróci, o ile pani Dworanowiczowej nie pogorszy się. Czekać na niego będę w altance w grabowej alei.

Zmięszanie Helenki rosło. Żal jej było dziewczyny, która nie wiedząc o niczem, łudziła się, a wyprowadzić jej z błędu narazie nie mogła, nie miała prawa.

— Powtórzę mu — powiedziała po chwilce wahania.

Nie cierpię tej przybłędy — mówiła sobie w duszy Roma, jadąc konno do domu ścieżką wśród zbóż.

Biedna dziewczyna — litowała się Helenka, idąc do pokoju ciotki...

* * *

O godzinie szesnastej przyjechał Nel z księdzem.

Przystrojono naprędce pokój kwiatami, urządzono rodzaj ołtarzyka.

Gdy ukazał się ksiądz wyszli z pokoju wszyscy. Poklękli przy drzwiach na korytarzu. Helenka płakała. Przez palce rąk, któremi zakryła twarz, sączyły się łzy.

Wreszcie ksiądz otworzył drzwi i gestem zaprosił wszystkich do pokoju.

Chora leżała z zamkniętemi oczami, uśmiechając się uśmiechem spokoju i zadowolenia.

Ksiądz wezwał Helenkę i Nela do ołtarzyka, na którym stała woda święcona i krzyż.

— Obrączki pan ma — spytał półgłosem Nela.



W Charleville-Mezieres odsłonięto w ub. niedzielę piękny pomnik króla Alberta I. Na ilustracji uroczysty akt odsłonięcia pomnika.

Kiwnął głową. Z bocznej kieszeni kamizelki wyjął dwie obrączki i podał księdzu.

Lokaj Leon, pełniący funkcje zakrystjana, przyniósł talerzyk i położył na niego obrączki.

Helenka blada, drżąca, wzruszona przystąpiła do ołtarzyka i stanęła obok Nela.

Ceremonja była krótka i dziwnie żałobna.

Powtórzyli za księdzem przysięgę, zamienili pierścionki, ucałowali stułę, przyjęli życzenia księdza i otoczenia i byli już złączeni na życie całe. Nic nie pomoże, ni procedura prawna cywilnych rozwodów, ni przyjęcie innej religji, ni szereg kłamstw i wykrętów — nic — ślub kościelny pozostaje ważny i prawny — i słowa przysięgi: „iż cię nie opuszczę aż do śmierci“ — zostawiają piętno niezatarte w duszy i sumieniu człowieka na życie całe.

Można mieć kilka niby żon lub mężów uprawnionych za cenę frymarki wiarą i religją, można wmawiać w siebie po kolei, że każdy z chwilowych, tymczasowych mężów jest właśnie tym jednym, jedynym prawnym małżonkiem — ale mimo to w głębi duszy tylko ten pierwszy czy pierwsza będą zawsze i wszędzie „właśnie“ tylko tym jednym, prawdziwym, żebyśmy nie wiem jak oszukiwali swoje sumienie, serce i najtajniejsze komórki naszego jestestwa.

— — — — — — —

Roma naprózno czekała Nela w grabowej alei. Nie przyszedł.

Przygnębiona, zła, zawiedziona, łez bliska wróciła do swego pokoiku. — Nie przyszedł! Brzydki, niedobry... — A może matka umarła, lub pogorszyło jej się — przyszło jej na myśl.

Pocieszyła ją ta myśl. — Naturalnie, nie mógł przyjść, jeżeli matce gorzej...

Usnęła zupełnie uspokojona i pełna nadziei, ufna w swą urodę i młodość.

Ranek przyniósł jej nowinę, która odrazu zdruzgotała całą jej radość życia na długie miesiące.

— Pani Dworanowiczowa ma się lepiej, — wczoraj odbył się ślub Nela z tą tam wychowanicą Dworanowiczów, jakże jej tam?... no, Heleną — powitał ją tą wiadomością ojciec, gdy przyszła na śniadanie.

Zbladła i chwyciła się kurczowo stołu, by nie upaść.

* * *

W jasnem świetle lamp elektrycznych, na tle wspaniałej sieni pałacowej, pełnej luster, rogów jelenich i łbów odyńców ujrzał Helenkę Włodzimierz Olsiński, brat Romy, po pięciu latach niewidzenia, niby zjawę czarowną.

Spłynęła ku niemu z misternie rzeźbionych, wyłożonych ciemno-czerwonym suknem schodów smugą błękitu sukni, szelestem jedwabiu i zapachem: „Violette de Parme“... Nie miała na sobie żadnych klejnotów, ale aureola złotych puszystych włosów błyszczała nad czołem jak djadem w jaskrawem świetle lamp, oczy mieniły się zielenią jak najdroższe szmaragdy, a kolor ust zastępował najpiękniejsze korale.

Zapatrzył się na nią jak na cudne zjawisko, zapominając, że lat pięć temu przeszedł koło niej obojętnie, lekkiem wzruszeniem ramion odpowiadając na jej pokorne, proszące spojrzenia.

Ona tymczasem, jakby nie dostrzegając wrażenia, jakie na nim uczyniła, głosem dźwięcznym jak srebrny dzwoneczek witała go uprzejmie, pytając o powód spóźnienia.

Powód był błahy.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Ajent policyjny

7.

Nie była to skromność, lecz wyrachowanie. Kto się w cień usuwa, tem większe sprawia swą osobą wrażenie, gdy w pełnem stanie świetle.

Nalewajka tymczasem, czując coraz większe w kościach zmęczenie, wywołane nieprzespaniem nocy, wziął się do przetrząśnięcia szaf szynkowych, co się tem skończyło, iż wynalazł w nich nakoniec flaszkę oryginalnego koniaku zaledwie w jednej czwartej osuszoną. Zawahał się w pierwszym momencie, że jednak jego natura wilcza zbyt silnie go ciągnęła do lasu, machnął w końcu ręką, jakby natarczywą muchę odganiając i nalał sobie pełną szklanicę, którą wychylił następnie jednym haustem.

— Kolega pozwoli?... zapytał następnie Lekoka.

Lecz młody ajent żadnego orzeźwienia nie potrzebował, gdyż i bez tego był aż nazbyt podniecony. Cały był przejęty dążeniem „by sędzia śledczy, po przeczytaniu jego raportu, zawołał z ożywieniem: „Przyprowadźcie mi co prędzej tego zucha, który ten raport zredagował".

Zdawał sobie doskonale z tego sprawę, że cała jego przyszła karjera od tego raportu i tego wezwania zależała.

Dokładł więc wszelkich starań, by być zwięzłym, a jednocześnie jasno i rzeczowo przedstawić stan rzeczy. Umotywować przytem w sposób nieodparty, na zasadzie jakich danych powziął podejrzenie, co do osoby mordercy i jak następnie jego hipotezy znalazły w szeregu faktów potwierdzenie.

W zakończeniu w ten sposób skreślonego referatu podał dokładny opis dowodów rzeczowych przez siebie zgromadzonych, a więc: kosmyki bronzowej wełny, zebrane z drzewnych kloców, kosztowny kolczyk w szynkowej izbie znaleziony, odlewy gipsowe śladów, w ogrodzie i w polu znalezionych, wreszcie fartuch ciotki Szupe z wywróconemi kieszeniami.

Był tam nakoniec i rewolwer mordercy, pięciostrzałowy, z dwoma wystrzelonemi nabojami.

Ta ostatnia broń, aczkolwiek bez żadnych ozdób, była wyrobem pierwszorzędnej wartości; była marki angielskiej i pochodziła ze znanej wytwórni Stephena, London. VI. Trafalgar-squaer.

Lekok intencyjnie przeczuwał, że gdyby tak przeszukał kieszenie zabitych, to by w nich znalazł zapewne sporo cennych wskazówek — nie miał jednak odwagi uczynić tego. Był zbyt wielkim jeszcze na to frycem. Zdawał sobie przytem z tego sprawę, iż gdyby się odważył na ten krok, to Żewrol nigdy by mu tego nie darował, a może nawet oskarżył go o to, iż poruszeniem martwych ciał uniemożliwił djagnozę lekarską, co do przyczyn śmierci.

Lekok kończył właśnie swą pracę, gdy usłyszał za sobą głos Nalewajki:

— Hej tam, towarzyszu, idzie już nasz jenerał z dwoma ajentami, prowadząc komisarza i dwóch panów w ubraniach cywilnych.

Słowa te Lekok przyjął do wiadomości z marmurowym spokojem. Rzucił tylko okiem przez okno na komisarza, by z jego fizjonomji wywnioskować w jakim jest on nastroju ducha?

Komisarz jednak miał twarz bardzo pogodną, najzupełniej nie zatroskaną tem, iż w dzielnicy jego opiece powierzonej wydarzyło się potrójne aż morderstwo.

Nie mogło to bowiem rzucać zbyt złego światła na jego rewir, ponieważ, jak go uspokoił sam Żewrol pod tym względem, fakt ten, aczkolwiek dość mroczny sam przez się, był jednak wynikiem prostej bójki pijackiej tylko.

Nie był to więc rozbój, morderstwo to nawet z kradzieżą nie było połączone. Ot, prosty wypadek, nic więcej.

To też komisarz całe zajście, traktował z pełną flegmą. Nawet z przeprowadzeniem śledztwa się zbytnio nie śpieszył i udał się na miejsce wypadku w godzinach urzędowych, a nie po nocy.

Bez zbytniego zaciekawienia rzucił okiem na przyprowadzonego do aresztu mordercę, rankiem dopiero zawiadomił o zdarzeniu władze sądowe, a teraz szedł, nie śpiesząc się zbytnio, wraz z dwoma lekarzami, przysłanemi przez pana prokuratora jeneralnego, by ci dali swą ocenę pod względem policyjno-lekarskim. Prowadził jeszcze wachmistrza z 53 pułku linjowego woltyżerów, by ten rozpoznał w zabitym swego podwładnego, który, sądząc z guzików mundurowych, do 53-go pułku należał właśnie.

Co do Żewrola, to ten, poznać to było można od jednego rzutu oka, nie interesował się sprawą najzupełniej.

Szedł sobie, pogwizdując, wywijał przytem z całą nonszalancją laseczką, która o wiele więcej go zajmowała, najwidoczniej, aniżeli cała ta „głupia" sprawa.

Na spotkanie idących Nalewajka wyszedł na próg domu.

Na jego widok, Żewrol roześmiał się rubasznie i zawołał wesoło:

— No cóż, stary?... Nie szykujesz się czasem, by nam opowiedzieć jakiś melodramat tajemniczy?

— Ja tam nie mam nic do opowiadania — odpowiedział stary weteran, nie wypuszczając fajki z zębów. — Jestem na to za głupi. Myślę jednak, iż pan Lekok udzieli panu paru szczegółów sprawy dotyczących, jakich się pan, panie jenerale, niespodziewałeś napewno.

Tytuł: „pan", jakim stary ajent uczcił swego kolegę, zabrzmiał bardzo przykrym zgrzytem w uchu Żewrola.

— „Pan" ma coś do powiedzenia mi? — zapytał ironicznie. — Co znów za pan?

— Mówię o mym koledze — odpowiedział nie zbity z tropu Nalewajka — o panu Lekoku.

Poczciwy weteran nie przypuszczał nawet, iż mimowoli stał się ojcem chrzestnym młodego policjanta. Ten bowiem od dnia tego został, tak dla przyjaciół jak i wrogów „panem" Lekokiem.

Sądzone było, iż ten cudzysłów znikł z czasem i Lekok został istotnym panem, przez duże P. nawet.

— Ach, ach! — zawołał Żewrol, którego najwidoczniej jakaś zła mucha ukąsiła w ucho — więc ten „pan"?...

— Ukuł przez tę noc, tutaj spędzoną, stalowy łańcuch, w który zakuje nieznanych sprawców zbrodni, którą się właśnie zajmujemy.

Frazesem tym, wypowiedzianym z zapałem, Nalewajka pogrzebał się z kretesem, rzecz prosta, w opinji swego zwierzchnika.

Jego uwielbienie dla Lekoka było jednak do tego stopnia wielkie, iż postanowił iść ze swym kolegą ręka w rękę, nie zważając na nic i na nikogo.

— Zobaczymy tę stalową obręcz, która, obawiam się, by nie okazała się wiechciem z włókien konopi — zjadliwie odparował cios Żewrol, postanawiając sobie jednak w duchu zwrócić uwagę na nowicjusza, który tak buńczucznie sobie poczyna i może się okazać groźnym współzawodnikiem, o ile na jego poczynienia nie zarzuci się odrazu właściwego hamulca.

Na tem urwała się rozmowa, zwłaszcza iż do domu ciotki Szupe zbliżyła się gromadka, którą on poprzedzał. Usunął się przeto z drogi, ażeby przepuścić komisarza.

Ten ostatni nie był bynajmniej dyletantem. Owszem, poprzednio piastował godność sędziego pokoju w dzielnicy Temple i miał sposobność widzieć niejedną okropność, cofnął się jednak ze zgrozą od progu szynkowni na widok tego, co tam zobaczył.

Wachmistrz 53 pułku, idący tuż za nim, stary wiarus z piersią okrytą orderami, niemniej silnego doznał wrażenia. Zbladł jak ściana i osłabł do tego stopnia, iż był zmuszony oprzeć się o ścianę.

Dwaj lekarze tylko zachowali spokój marmurowy.

Na widok wchodzących Lekok zerwał się z siedzenia i w postawie pełnej uszanowania, z raportem w ręku, czekał na zapytania.

— Mieliście tutaj, widzę, noc wcale nie wesołą — rzekł komisarz dobrotliwym tonem — i to bez żadnej korzyści dla sprawy, ponieważ dochodzenia, jak mi powiedziano, żadnego nie dały wyniku.

— Pozwolę sobie niemniej przedłożyć szefowi — odpowiedział Lekok głosem uniżonym — że nie straciliśmy może czasu tutaj tak znów zupełnie napróżno. Jest w tem zasługa mego bezpośredniego zwierzchnika, który, pozostawiając nas tutaj, rozkazał robić dalej poszukiwania. Otóż czyniąc zadość tej woli, ja wraz z mym towarzyszem, Nalewajką, prowadziliśmy w miarę naszych skromnych sił, jak najstaranniejsze poszukiwania, co uwieńczone zostało względnie pomyślnym skutkiem, ponieważ udało nam się odkryć coś nie coś. Pomiędzy innymi stwierdziłem, iż morderca miał towarzysza, jeżeli nie wspólnika, w rezerwie oczekującego na przebieg wypadków, rysopis którego jest mi w pewnych szczegółach znany. Jest to mężczyzna w pewnym już wieku, o ile cośkolwiek o tem sądzić wolno, w miękkiej na głowie czapce z daszkiem, ubrany w paltot syberynowy, włochaty, koloru bronzowego. Jego buty...

— Do stu miljonów djabłów — przerwał w tem miejscu opowiadanie Lekoka Żewrol — a ja głupiec...

Tutaj się zatrzymał, spostrzegając się po niewczasie, iż wyrwał się niepotrzebnie.

— Cóż pan? — zapytał z zainteresowaniem komisarz — proszę nam to powiedzieć.

Żewrol, widząc się w matni, nie miał innego wyjścia, jak brnąć dalej.

— Oto jak się rzecz miała — mówić zaczął — dziś rano, gdy na ulicy, przed komisarjatem oczekiwałem na przybycie pana komisarza, ujrzałem idącego człowieka, który z wyglądu był bardzo podobny do mężczyzny, rysopis którego podał nam Lekok przed chwilą. Człowiek ten był do tego stopnia zatruty alkoholem, iż idąc obijał się o mury. Gdy był bardzo już blisko komisarjatu, zatoczył się jeszcze silniej i padł jak długi na jezdni, co mu groziło w każdej chwili przejechaniem.

Lekok aż przymknął oczy, do tego stopnia silne wrażenie zrobiło na nim opowiadanie Żewrola.

— Widząc to — ciągnął dalej swą opowieść starszy ajent — gwizdnąłem na posterunkowych i poleciłem im odnieść pijanego do komisarjatu.

— I zamknęliście go razem z mordercą?! — zapytał gwałtownie Lekok.

— Oczywiście!... Wiesz przecież, iż w komisarjacie przy rogatce Włoskiej znajdują się dwie celki jedynie dla zaaresztowanych, jedna dla mężczyzn, zaś druga dla kobiet.

Komisarz zamyślił się.

— Źle się stało, do djabła — mruknął do siebie — ale na to niema już teraz rady.

— O przepraszam — odezwał się Żewrol mocno naganą dotknięty — rada jest i bardzo łatwa. Poprostu pchnę jednego z moich ludzi, ażeby zatrzymano w areszcie owego domniemanego pijaka.

— To się na nic nie zda — zawołał nie zważając na nic Lekok, zrozpaczonym głosem — jeżeli to jest istotnie człowiek, którego nazwałem wspólnikiem, to on tam do tej chwili wytrzeźwiał z pewnością i jest już daleko.

— Cóż więc czynić należy? — ironicznym tonem zapytał Żewrol — możeby „pan" Lekok łaskawie nas pouczyć zechciał?

— Ja myślę, że traf dał nam wyborną sposobność odkrycia całej tajemnicy. Teraz jednak nad całem tem zdarzeniem trzeba, z konieczności, postawić krzyżyk.

Mimo to Żewrol się uparł, by wysłać kogoś do komisarjatu, z poleceniem niewypuszczania z aresztu zatrzymanego za pijaństwo człowieka, na co komisarz dał swoje przyzwolenie. Gdy posterunkowy się oddalił, Lekok zaczął czytać swój raport.

Czytał szybko, unikając podkreślań, by jego spostrzeżenia najważniejsze zniknęły w powodzi innych. Logika doskonale zgrupowanych faktów była jednak tak silna, że komisarz co chwila przerywał czytanie wykrzyknikami: „doskonale"... „tak właśnie być musiało" i t. p., zaś dwaj lekarze bezustannie z aprobatą kiwali głowami.



Kiedy malarze przystępują do odnawiania okien, słońce wiosenne rzuca piękne i fantazyjne cienie na ścianę.

Żewrol jedynie wzruszał na wszystko zasłyszane ironicznie ramionami, żaden z argumentów Lekoka nie zdołał trafić do jego przekonania.

W duszy jednak ogarnęła go szalona zazdrość, wprost dusił się z wściekłości.

Komisarz, na szczęście, był innego zdania.

— Wywody twoje, młodzieńcze — rzekł do Lekoka — trafiły do mego przekonania i nie wątpię, iż tak właśnie było, jak ty to przedstawiłeś. Nie będzie to jednak zbyt łatwa do rozwiązania sprawa, ponieważ morderca trwa w uporczywem milczeniu. Nie wyjawił nam nawet swego nazwiska. To też myślę, iż tajemnica morderstw tych nigdy nie zostanie wyjaśniona.

Lekok utaił uśmiech, który, omal że nie wybiegł mu na usta.

— To się jeszcze zobaczy — pomyślał.

IX.

Rzadko widzieć można dwóch ludzi, tak zasadniczo różniących się pod każdym względem, jak lekarze wezwani przez wydział bezpieczeństwa publicznego, dla dokonania oględzin zabitych, z punktu widzenia lekarsko-sądowego.

Jeden z nich, wysoki, stary, chudy i łysy, zdawał się być jednym z tych fanatyków wiedzy, dla których po za nauką i prawdą nic nie istnieje.

Drugi wyglądał bardziej na lowelasa z bulwarów, aniżeli na lekarza. Jeżeli leczył, to niewątpliwie kobiety tylko. I to nietylko młode, lecz i stare również; te ostatnie — przeważnie nawet może.

— Pozwolę sobie prosić panów, byście zechcieli pracę swoją rozpocząć od tego z zabitych, który ma na sobie wojskowy mundur. Zaś prośba ta moja jest wywołana przyczyną, iż chciałbym tu obecnego wachmistrza, zawezwanego dla ewentualnego stwierdzenia tożsamości zabitego, zwolnić jak najprędzej do koszar.

Obydwaj lekarze pochylili jedynie w milczeniu głowy na znak zgody, a następnie zabrali się do oględzin wskazanego trupa, po przeniesieniu go z podłogi na zestawione poprzednio parę stołków.

Zaś uczynić to było można ze względu, iż nieszczęśliwy jeszcze przed śmiercią był przez ajentów podźwignięty i pod mur przeniesiony.

— Zbliż się, panie wachmistrzu — dał rozporządzenie komisarz — i przypatrz się dobrze zmarłemu.

Stary wiarus wykonał rozkaz, z widocznym jednak wstrętem.

— Ma on na sobie mundur naszego pułku — zaopinjował — możliwe więc, iż w nim służył właśnie, za to jednak ręczyć mogę, iż nie był zaliczony do drugiego batalijonu, do którego i ja należę, ani do kompanji woltyżerów, której ja jestem wachmistrzem właśnie.

Stojący do tej chwili na uboczu Lekok zbliżył się po słowach tych do wachmistrza.

— Możeby można było zobaczyć numer porządkowy jego odzieży? — zapytał.

— Dobra myśl — przyznał wiarus.

— Oto jego kepi; ma ono w głębi numer 3.129.

Gdy jednak oglądać zaczęto inne szczegóły wojskowego ubioru, okazało się wtedy, iż każdy z nich innym był oznaczony numerem.

— No!... no!... ze zdziwieniem kiwać zaczął głową wachmistrz — to widzę, iż on do wszystkich potrochu należał parafji!... I pomyślawszy lepiej, to tak mi się coś zdaje, że ten biedak wogóle żołnierzem nie był. Że tak jest, dość spojrzeć na jego długie, nie po żołniersku przystrzyżone włosy, na jego zbyt wycacane ręce i na brak tego wszystkiego, poczem się wogóle żołnierza na kilometr poznaje, a co słowami wyrazić się nie da. Ot, naprzykład ten nieborak nawet kamaszy po wojskowemu zasznurować nie umiał.

Twierdzenie Lekoka, że to nie był żołnierz, znalazło potwierdzenie w słowach wachmistrza.

— Jeżeli jednak uznać by nawet, iż ten lekkoduch ubrał się w odzież żołnierza, z racji karnawału — próbował kwestjonować komisarz — to jaką drogą mógł dojść do posiadania wojskowego umundurowania. Wypożyczył je od żołnierzy chyba?

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

WIĘCEJ SERCA

Powiedzcie, kto z nas dziś naprawdę umie
Wczuć się w niedolę brata — ból zrozumieć,
Jaki mu toczy duszę już... bezradną?

I nam na drogę może cienie padną —
I ciężko będzie bez cudzej pomocy
Lub — choć małego — odruchu współczucia...

Więc — więcej serca, więcej w życiu czucia,
Niech bliźni będzie nam naprawdę bratem,
A jego szczęście — jedyną zapłatą...

Danuta Wyrybkowska.

SMUTNE, LECZ PRAWDZIWE!

„Wala z nad Drwęcy." Przykro mi donieść, że nadużyła Pani mego zaufania. Okazuje się bowiem, że wiersz Pani w nr. 12 „Moich Powieści" jest plagjatem. Czyn ten jest godny napiętnowania, gdyż zabierać komuś dorobek literacki jest rzeczą nieuczciwą.

Przy tej okazji zwracam się do wszystkich Czytelników, przysyłających wiersze, by nie podrabiali nigdy obcych utworów. Z plagjatorami nie będziemy się zupełnie liczyli, ale wymienimy nietylko ich pseudonimy, lecz i nazwiska.

Pomimo tylekrotnych napominań i ostrych wystąpień Wujka Janusza, zdarzają się nadal plagjaty. Trudno, żeby znać wszystkie wiersze i je pamiętać, więc czasem da się jakiś dobry utwór do druku, by za kilka dni dowiedzieć się, że jest dosłownie odpisany. Raz temu trzeba położyć kres i dlatego zawsze każdy plagjator będzie publicznie napiętnowany.

NIE ZAMIESZCZAM

„Rom z Kujaw." Nie, z listu Pana się nie śmiałam, ani mu się nie dziwiłam. Pisał Pan przecież w smutnym nastroju i to, co myślał.

Ciekawa jestem, czy już Pan zupełnie wyzdrowiał. Jeżeli tak, poproszę o ten zapowiedziany liścik i może o wierszyki. Dawno już ich nie było. Nie dziwię się też p. Maryli W., że pytą się, co jest powodem uporczywego milczenia Pana.

Adresu Pana w „Krainie" nie zamieszczam, gdyż pozostały śladem Pana więcej Sympatyków i powstałoby dzięki temu pewne zamieszanie. Najlepiej więc będzie, gdy prześle Pan listy na moje ręce, a ja z kolei przekażę je adresatkom. Pozdrawiam w imieniu Pana p. Marylę W. i „Polny Dzwoneczek."

TĘSKNOTA MOJA

Wśród pól szerokich, wśród naszych pól,
Tęsknota moja błądzi co rano,
I idzie samotna, jak głuchy ból,
W oną drożynę, nam dobrze znaną.

Nad cichym stawem, nad naszym stawem,
Zaduma się smętnie na chwilę małą,
I w wierzby-płaczki poszumie łzawym,
Utonie duszą swą rozgorzałą.

I znowu rusza w znajomą stronę,
A gdy wieczorem gwiezdna gromada
Rozpali w gorze jasną koronę,
Na twoim oknie zmęczona siada.

I cichym szumem wierzbin płaczących,
Skarży się tobie słaba i drżąca,
I cicho do warg się twych gorących
Przytula rzewna w złocie miesiąca.

W olbrzymim szczęściu czemuż bez końca —
Szepce żałośnie — gasną marzenia,
I droga długa nie w blasku słońca,
Lecz w szarym prochu znaczy wspomnienia?...

„Kalina."

PRZEPADŁA...

„Adonis." Pocztówkę, zgodnie z życzeniem, wysłałam. Kolegę do naszego grona oczywiście przyjmę. Tem lepiej, że wesoły, będzie więc znowu mniej smutku w „Krainie." Adresu „Maleńkiej Dżeni" nie posiadamy — przepadła bez śladu. Serdecznie pozdrawiam.

NIC PODOBNEGO

„Iwoneczka" pisze: „Mieszkam na wsi. Wioska nasza leży na wzgórzu. Jest tutaj ładnie, szczególnie latem, gdy naokoło tak ślicznie, zielono. Odczuwam jednak brak towarzystwa, gdyż mieszkają tutaj przeważnie sami Niemcy. Nie wiem dlaczego mnie los tutaj zesłał. Chciałabym nawiązać z kimś korespondencję. Może któryś z Czytelników lub Czytelniczek napisze do mnie? Na każdy list odpowiem. Może „Rekin"? A może „Dzikuska" by odpowiedziała, gdybym do Niej napisała?"

Dziękuję serdecznie „Iwoneczce" za pozdrowienia. Jesteś bardzo skromna, twierdząc, że piszesz „źle". Nic podobnego! Pa!

CZEKAM

Ola M. z Pomorza. Ponieważ w „Krainie" jest już jedna „Mercedes", proszę o zmianę pseudonimu, gdyż później zachodzą pomyłki w przekazywaniu korespondencji. Pozdrawiam Panią i czekam.

PRZYPUSZCZENIA BYŁY TRAFNE

„Wesoły Słowik." List, zgodnie z życzeniem, wysłałam. Przypuszczenia Pani były trafne, zresztą, sądzę, że otrzymała już Pani do tej pory odpowiedź.

Wykaz zaległości prenumeraty prześle Pani nasza administracja.

Dziękuję Pani w imieniu Wujka Janusza i swojem za tyle serdecznych pozdrowień.

LEPIEJ NIE ZAMIESZCZAĆ

„Zagadka." Ogłoszenie Pani nie wywołałoby pożądanego efektu, przeciwnie wzbudziłoby niesmak. Lepiej więc będzie go nie zamieszczać.

A teraz wracam do dopisków z listu, w których zwraca się Pani do „Miłośnika przyrody", by nie tęsknił, bo Pani myśli często o Nim, tylko z braku odwagi nie może zdobyć się na skreślenie kilku słów. Dalej przesyła Pani ukojenie „Smutnemu serduszku na Śląsku" i nakoniec prosi „Mizantropa", by przesłał Pani garść wrażeń z głębin leśnych.

JEST PANI USPRAWIEDLIWIONA

„Złoteńko." Nie uwierzy Pani, jak się cieszę na fotografję. O żadnych urazach pomiędzy nami nie może być mowy. Zwłaszcza, że podane powody usprawiedliły zupełnie Panią w moich oczach.

Rozbrajające jest zakończenie listu Pani, które oddaję do druku:

„Zachwycam się każdym pięknym krajobrazem, każdą piękną duszą polską. Nie dziw się też, Droga p. Zofjo, jeśli wyznam, że kocham Ciebie. Kocham również „Białą Uajali"... i kocham jeszcze imię Stef!... Marzę o korespondencji z młodzieńcem posiadającym to imię."

TROCHĘ RADOŚCI

„Ilja z pod Wągrówca." Kochanie, do „Krainy" przyjmuję Cię z miłą chęcią, tembardziej, że jesteś zawsze tak wesoła, i nie umiesz się nigdy smucić. Takich radosnych serduszek jest mało w „Krainie", więc cieszę się bardzo, gdy ktoś wesoły do nas zawita.

Załączone pozdrowienia przekazuję „Strażnikowi z pod Chodzieży" — „Turowi" i „Augustowi", z zapytaniem, który z tych Panów zechce skreślić kilka słów dla „Ilji z pod Wągrówca."

PRZYKRO MI...

„Wielkopolanka z pod Poznania" pisze: „Nawiążę chętnie nić przyjaźni. Jestem blondynką. Kocham wieś i przyrodę. Praca w biurze wypełnia mi cały dzień, prowadzę więc życie ciche i skromne. Przepadam za muzyką i dobremi książkami. Chętnie poprowadzę korespondencję z kimś inteligentnym, wesołym i poważnym, z kimś, kto kocha również wieś i posiada prawą i szczerą duszę..."

Kochana Pani! Jestem pewną, że tym razem będzie Pani zadowolona. Przykro mi, że dotąd nikt do Pani nie napisał. Proszę pamiętać nadal o mnie i nie pogrążać się w rezygnacji. Sądzę, że jest to zbyteczne.

INTERESUJĄCA KORESPONDENCJA

„Smętek." Drogi Panie! Przesłane fotografje sprawią mi jak największą radość, gdyż sama jestem zapaloną fotoamatorką. Ogromnie podobał mi się list Pana — taki szlachetny i pełen głębokich myśli. Korespondować z Panem to prawdziwa satysfakcja.

Chociaż bez wyraźnego pozwolenia, ale oddaję krótki wyjątek z listu Pana do druku:

„Lubię przelewać myśli na papier, choć wierszy nie pisuję. Mam głowę przepełnioną nadmiarem myśli, więc gdyby którakolwiek z Czytelniczek chciałaby podyskutować, zbić me wywody, bardzo proszę... jestem do dyspozycji... Panów nie wykluczam. Odpowiem wszystkim. O sobie krótko: Jestem szczupłym blondynem o piwnych oczach, oficerem rezerwy, z zawodu aptekarzem. Pasjami lubię sport, lecz tylko uznaję szlachetny, jak: tenis, wioślarstwo, łyżwiarstwo i narciarstwo..."

BĘDZIE NAJLEPIEJ...

„Żołnierz." Szanowny Panie! W „Krainie Szczerości" nie możemy dawać apelu o jaki Panu chodzi, gdyż zmieniłoby to jej charakter. „Kraina" jest tylko kącikiem towarzyskim, jak często powtarzam. Najlepiej będzie, gdy zamieści Pan płatne ogłoszenie matrymonjalne, które dla Pana będzie miało pożądany skutek. Przesyłam serdeczne pozdrowienia i czekam na decyzję.

ŻYCZENIE SPEŁNIONE

„Genjusz." List wysłałam. Prośbie Pana czynię zadość i przedstawiam naszej „Rodzince" nowego członka:

A więc „Genjusz" to wysoki ciemno-blondyn, o niebieskich oczach. Nie uznaje smutku, zawsze jest wesoło uśmiechnięty, energiczny i przytem marzyciel.

Życzenie Pana spełnione. Żegnam więc i czekam na przyrzeczone wiersze.

„POMIMO PRACY"...

„Inka M." „Pomimo, że cały dzień wypełnia mi praca i na nudy nie mam powodu narzekać, chętnie nawiążę z kimś korespondencję, gdyż wieczorami miło jest załatwiać takie rzeczy, jak odpowiadanie komuś na liściki" — pisze p. „Inka M."

Pierwszemu życzeniu Pani czynię zadość, jednakże drugie przekreślam, gdyż jak się dowiaduję, Sympatyk do którego się Pani w swym liście zwraca, zmarł.

Łączę jak najserdeczniejsze pozdrowienie i proszę o nadesłanie adresu, abym wiedziała, gdzie skierować korespondencję.

ODPOWIEDŹ JUŻ BYŁA

„Piwonja." Odpowiedź dla Pani już była w „Krainie Szczerości", do której oczywiście przyjęłam Panią. List wysłałam. Łączę moc serdecznych uścisków i przesyłam w imieniu Pani pozdrowienia dla „Smutnego Urwisa" i „Bruneta J. 03."

CZY PRZYNIÓSŁ ZADOWOLENIE?

„Kornatowianka." Dziękuję Pani z Wujkiem Januszem za pozdrowienia. List wysłałam, czy przyniósł dużo zadowolenia?

NIESŁUSZNY ŻAL

„Ola z wesołej dwójki." Mylisz się, Kochana Dziewczynko, gdyż nie odpowiadam Ci ani mniej serdecznie jak innym, ani z przymusem. Jesteś mi tak samo miłą, jak wszyscy zresztą Sympatycy „Krainy". Nie wyróżniam przecież specjalnie nikogo. Twój żal więc jest niesłusznym.

Myślę, że ktoś z Czytelników „Moich Powieści" napisze do Ciebie liścik, zwłaszcza gdy się dowie, że Cię tem rozweseli i wyleczy ze smutku, tak, że znowu będziesz dawną rozdokazywaną i uśmiechniętą do wszystkich „Olą z wesołej dwójki."

Proszę, nie myśl o mnie nigdy źle i napisz znowu. Pozdrów serdecznie „Inę."

NAWIĄŻE KORESPONDENCJĘ

„Don Juan z nad Strugi“ nawiąże za pośrednictwem „Krainy“ korespondencję. Jest przystojnym, inteligentnym, średniego wzrostu młodzieńcem.

Walorów dużo, więc zapewnie niejedna rączka skreśli miły liścik dla nowego Sympatyka „Krainy“, temwięcej, że przybył do nas aż z nad Strugi.

APEL

„Mała Konwalijka.“ Liścik Pani był dla mnie słonecznym promykiem. Pisze w nim Pani, że za mojem pośrednictwem spotkało ją dużo zadowolenia oraz wiele przyjemności w korespondencji z „Smutną Mirjam.“ Cieszy mnie to, bo największą moją satysfakcją to przysporzenie komuś radości.

Proszę pisać do mnie o wszystkiem. Liścikami moich Sympatyków nigdy się nie nudzę, bo w nich dzielą się przecież ze mną swemi uczuciami, smutnemi i radosnemi, więc trudno żeby mnie to nie interesowało.

A teraz podaję apel Pani:

„Pragnę znaleźć pokrewną sobie duszę, kochającą piękno przyrody i lubiącą się czasem przenieść w krainę marzeń. Korespondencja z nią sprawi mi wiele przyjemności.“

MIŁY LIST

„Słodka Psyche.“ Liścikiem Twoim, Kochanie, byłam zachwyconą i wierzę, że ten, co nawiąże korespondencję z „Słodką Psyche“, będzie najzupełniej zadowolony. Czy mogę poprosić o częstsze odezwy? Liściki, takie proste jak Twój ostatni, szczere, przeplatane ładnemi myślami, czyta się tak chętnie... więc dlatego proszę.

Chętnie przekazuję pozdrowienia przeznaczone dla: „Strażnika z pod Chodzieży“ — „Mickey-Mouse“ — „Sobowtóra Ramona“ — „K... barona“ — „Fali Noteci“ — „Białej Uajali“ i „Nauczyciela z Wileńskiego.“

Dziękuję serdecznie „Słodkiej Psyche“ w ich imieniu i przesyłam jej moc moich pozdrowień.

NA KAŻDY LIŚCIK...

„Turkusik“ zasyła pozdrowienia „Pomorzaninowi wśród lasów“ — „Delfinowi z nad Bałtyku“ — „Stefkowi z Gdyni“ i „Novarowi“ i obawia się, czy znajdzie się ktoś taki, który bez obawy napisze do Niej liścik.

Sądzę, że znajdzie się, w dodatku, gdy „Turkusik“ zapewnia tak gorąco, że na każdy liścik da szczerą odpowiedź.

POCZEKAM NA INNY

„Perskie Oczko.“ Takie miłe istotki, pełne humoru, przyjmuję zawsze w „Krainie“ z radością, w dodatku, gdy jeszcze tak pięknie proszą.

Sądzę, że któryś z smutnych Sympatyków „Krainy“ napisze liścik do bardzo wesolutkiej Dziewczynki — „Perskiego Oczka.“

Wierszyk otrzymałam. Posiada zbyt lekką formę, poczekam więc na inny, poważniejszy i dopiero umieszczę.

„SMUTNEMU URWISOWI“ W ODPOWIEDZI!

„Smutny Urwis.“ W swoim długim liście postawił mi Pan wiele pytań, postaram się jednak w miarę możności odpowiedzieć:

Pyta Pan, czy warto zwiedzić okolice Żnina. Sądzę, że tak. Godny zobaczenia w Żninie jest dawny pałac arcybiskupi i historyczna baszta na Rynku, pozatem duże, pięknie położone jeziora. W najbliższej okolicy warta zwiedzenia jest miejscowość Wenecja, położona 6 klm od Żnina, wśród malowniczych jezior, z ruinami zamku, dalej miejsce śmierci Leszka Białego w Marcinkowie Górnem pod Gąsawą, następnie przedhistoryczne wykopaliska w Biskupinie i pomnik wielkiego poety Klemensa Janickiego w Januszkowie.

Sympatyczka, o którą się Pan informuje, nie mieszka obecnie w Radomsku, może jednak kiedyś tam przebywała, więc najlepiej będzie, gdy Pan się do Niej osobiście zwróci.

Kierownikiem działu politycznego w tygodniku „Moje Powieści“ jest jeden z współpracowników redakcyjnych.

Winę w nieregularnem dostarczaniu „Moich Powieści“ ponosi, mam wrażenie, poczta.

Nad podanym przez Pana projektem na ankietę — pomyślimy.

To wszystko. Przesyłam na zakończenie Panu serdeczne pozdrowienia i czekam na nowe wiadomości.

NIE TRZEBA SIĘ ZRAŻAĆ!

„Zniechęcony do życia.“ Przesłana fotografja jest bardzo piękną. Umieścimy ją w lecie w „Moich Powieściach.“

Nie powinien się Pan niczem w życiu zrażać, jeżeli jest nadzieja wyjścia z przykrej sytuacji. Przeciwnie, każdy człowiek powinien swój zamiar konsekwentnie przeprowadzić do końca. Pisząc o tem, mam na myśli korespondencję, w której, jak widzę absolutnie nie ma Pan powodzenia. Nie jest to nic nadzwyczajnego. Trudno bowiem odrazu zadzierzgnąć harmonijną i odpowiednią upodobaniom wymianę myśli.

Radzę więc Panu nie poddawać się rezygnacji, lecz próbować nadal znaleźć sobie bratnią duszę wśród Czytelników „Moich Powieści.“

Odwzajemniam z Wujkiem Januszem serdeczne pozdrowienia Pana.

Teczka Wujka Janusza

NIE SMUĆ SIĘ!...

Dla „Samotnej Polnej Stokrotki.“

Nie smuć się, Droga Polna Stokrotko,
Chociaż samotnie przeżywać trza dni.
Nie smuć się, chociaż jesteś sierotką,
I chociaż serduszko ból targa Ci.

Nie smuć się, kiedy przyjdzie cierpienie,
I kiedy do oczu cisną się łzy.
Nie smuć się, gdy na słodkie wspomnienie
Duszyczka zapłonie tęsknotą Ci.

Nie smuć się nigdy, Stokrotko Droga,
A jeśliby smutek wciąż dręczył Cię,
O wtedy wznieś Twe oczy do Boga,
A radość rozpali serduszko Twe.

Michał Choszcz — Grudziądz.

„DZINKA“ ZWYCIĘŻYŁA

Odpowiedź na wiersz „Miłość.“

Zostałem pokonany twoim trzeźwym sądem;
Podoba mi się twoje proste, bardzo mądre
Miłości określenie...
Do duszy przemówiłaś dziecinną prostotą,
Taką szczerą, prawdziwą, taką piękną, złotą —
Przedziwną nieskończenie.

Zostałem pokonany i jestem bez zbroi,
Ugodził mię grot prawdy i prostoty twojej —
Tajemną jakąś siłą.
Zostałem pokonany, lecz jest mi z tem dobrze,
I jestem Ci Dzineczko za to wdzięczny szczodrze.
Co było, to minęło!...

Od dzisiaj więc, Dzineczko, znam znów prawdę nową,
A prawdy owej sednem są skromniutkie słowa,
Że miłość, to rzecz święta, wzniosła, niepojęta!...
Od dzisiaj więc, Dzineczko, śmiej się razem ze mną,
A nasze rozbieżności niech w kąciku drzemią...
Bo miłość, to rzecz święta, wzniosła, niepojęta!

Zygmunt Orda.

Z powodu przenoszenia drukarni do nowego budynku, **następny numer „Moich Powieści“ wyjdzie z datą na 21 kwietnia b. r.**

Aby czytelnikom naszym dać pełną satysfakcję, w miejsce numeru, przypadającego na 14 b. m. wydamy w najbliższym czasie **numer podwójnej objętości.**

DROGA DO DOSKONAŁOŚCI — DALEKA

P. Zygmunt Orda. Wiersze Pana przeczytałem uważnie. Postęp w pracy Pana jest już widoczny, jednakże droga do doskonałości jeszcze daleka. W kilku miejscach zauważyłem, że rym jeszcze szwankuje i zbyt sili się Pan w niektórych zwrotkach na zobrazowanie myśli przewodniej wiersza. Pozatem pisze Pan ciekawie i posiada łatwość w doborze różnorodnych określeń i rymów.

Część wierszy odłożyłem do teczki, mianowicie: „Dzinka zwyciężyła“ — „Drożdżyku mój“ — „Serce poety“ — „Metafora“ — „Tobie Wodzu“ — „Marzenia“ — „Apel“ — „Sonet o dziecinie“ — „Warjant o dzisiejszej poezji“ — „Iluzja“ — „Pieśń marynarzy.“

Przesyłam w imieniu Pana wyrazy uznania: „Białej Uajali“, Danucie Wyrybkowskiej, Marji Zemmlerównie, Wesołowskiemi i M. Mszczyckiej, oraz M. Naturskiej za wiersz „Rozmowa.“

REFLEKSJA

Czasem się smutek tak człowieka czepi,
Że jak okowy, tak za gardło dusi,
Że nic uśmiechu na nim nie wymusi,
I nolens-volens, zginąć wtedy — lepiej!
Ale wystarczy wziąć to z innej strony,
Ten smutek dziwny a tak bezpodstawny,
To się zobaczy, że on bardzo dawny.
Kurtyna spada i — dramat — skończony!

Zofja Radzichowska — Zora.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Swojem porządkiem, niech tam sobie co kto chce grymasi, ale trzeba powiedzieć, że Niemcy to naród pracowity.

Ostatniemy czasy, podobnież, rozlenili się co pod względem kodeksu małżeńskiego, i dzieci było coraz mniej.

Ale jak rząd zobaczył, że po ulicach same starsze facety z bródkamy chodzą, a młodziaków niema ani na lekarstwo, rozporządzenie wypisał, żeby się cały naród ostro tem zajął, bo w przeciwnym razie bedzie krewa.

I patrzyć, rok nie upłynął, a pętaków tak się w Niemczech namnożyło, że do słowa dorosłe dojść nie mogą, bo dzieciaki drą się wszędzie jak powietrze.

I faktycznie racje Niemcy mają, że taki przykaz wydali, bo tylko w ten deseń można bezrobocie zażegnać. Dla małoletnich mikrusów wózeczki z ceratowemi budkami są potrzebne, i już ma przytem robotę ślusarz, a także samo rymarz i lakiernik.

Ale nie dosyć na tem. Nie każden przecież jest żonatem, niejeden w kawalerskiem stanie po świecie się obija, a obowiązek obywatelski spełnić musi. No nie?

Znakiem tego pierwszej lepszej pannie się oświadcza i do ołtarza ją prowadzi, żeby się razem ojczyźnie zasłużyć.

A wiadoma rzecz, że do ślubu potrzebny czarny garnitur, lakierowane kamasze i bukiet białych róż. Odrazu mają co robić krawcy, szewcy i ogrodnicy. Fabrykanci gumowych wyrobów tyż nie mają prawa narzekać, bo dla dzieciaków smoczki przecież są potrzebne.

W ten deseń wszyscy muszą być zadowolnione i dobrobyt w kraju rośnie.

Raj kobiet

Najnowsze modele wiosennych płaszczy



M 26 402 Elegancki płaszcz z beżowego tweedu, przerabianego w urywane, brązowe pasemka. Bardzo oryginalna jest górna część, imitująca żakiet. Piękne rękawy.

M 21 491 Młodociany płaszcz z tweedu lub wełny w kratę z modną pelerynką i dużemi kieszeniami.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w administracji za nadesłaniem zł 1,90 przez P. K. O. 209.062.

Nowości mody wiosennej

Sezon wiosenny zapowiada się pod znakiem kraty, czy to ogromnej szkockiej, czy maleńkiej pepity.

Najmodniejszemi kolorami są: ciemnozielony, szafirowy, popielaty i rudaworóżowy. Kolory te są „ostatnim krzykiem“ na palta wiosenne. Najnowsze materjały są tkane w supełki i węzełki które odbijają się kontrastowo od dawnych — gładkich — materjałów płaszczowych.

Palto wiosenne winno być przedewszystkiem z dobrego materjału i uszyte bez zarzutu. Minęły już te czasy, kiedy to przeważnie każda pani kupowała co roku nowe palto. Dzisiaj moda musi iść w parze z praktycznością. Materjał kupuje się w takim gatunku i palto tego kroju, aby można bez jakichkolwiek przeróbek nosić przeciętnie 2—3 sezony.

Trzyćwierciowe, raglanowe palta są nadal bardzo modne.

Faworytem wiosny jest w roku bieżącym kostjum i pelerynka. Ogromną popularnością cieszyć się będzie na wiosnę robe-manteau. Suknia taka zapinana na guziki, przepasana paskiem, ozdobiona wyłogami — stanowić będzie bardzo ładną i oryginalną nowość.

Torebka, kapelusiki i rękawiczki muszą być bezwzględnie dostosowane do całości. Tak więc torebki będą musiały być dofarbowane do koloru palta czy kostjumu, można nawet uszyć je i tak jak rękawiczki stebnować i haftować.

Słowem, w obecnym sezonie zda każda pani egzamin swego gustu, — aby wśród powodzi kolorów i gatunków wybrać odpowiednie materjały dla siebie. A przecież jest poprostu nakazem chwili i obowiązkiem każdej pani zawsze umieć modę dostosować do własnej sylwetki.

ŚWIAT I ŻYCIE.

„Regulator pogody“.

Do zarządu organizacji wystawy światowej w Paryżu, która przypadnie na r. 1937, wpłynął projekt wynalazcy francuskiego inż. Bernarda Dubois, który jest przekonany że będzie mógł regulować pogodę w okresie wystawy.

Wynalazek inż. Dubois spotkał się w ministerstwie pracy i w ministerstwie robót publicznych z bardzo przychylnem przyjęciem. Akademja Wiedzy Kolonjalnej przeprowadzała z nim jakoby udałne eksperymenty. Ostateczny sąd o tym wynalzku wyda Akademja wtedy, kiedy uda się inż. Dubois wytworzyć sztuczny cyklon, długi na 7.000 m., tak, jak to dotychczas udało mu się z cyklonikiem 3 metrowym w laboratorjum. Dubois potrafił przeprowadzić swe doświadczenia narazie na małą skalę.

Olbrzymia maszyna do wyrabiania pogody budowana na placu wystawowym jest ogromnym lejem żel-betonowym, który posiada charakterystyczną formę chmury cyklonowej. Lej ten szerokim końcem zwrócony jest ku dołowi. W owym leju mają być sztucznie stworzone te same prądy, które w przyrodzie powodują cyklon, wyciągając z atmosfery zawartość wilgoci. Innemi słowy maszyna zbiera swoim dolnym końcem rozgrzane powietrze, wyciąga je na górę wprowadza je do wyższych, zimnych warstw powietrza, przyczem wilgoć się kondensuje i spada deszcz.

Aparaty inż. Dubois, zdaniem wynalazcy mogłyby także powodować burze, zatrzymywać samoloty nieprzyjacielskie i pochłaniać gazy trujące.

U nas to samo trzeba będzie zrobić, bo inaczej może być niedobrze, zwłaszcza, że podobnież Japończyki chcą nas uderzyć swojemi taniemy wyrobamy. i zegarki na wagie do Polski dostawiać, a takżesamo rowery, samochody, krawaty, kołnierzyki, jasne piwo i gotowe zakąski pod wódkie.

Jako stały klejent restauracyjny, osobiście nie miałbym nic przeciwko temu. Bo jeżeli kilo złotych zegarków ma kosztować 35 groszy, no to duża bomba piwa z wianuszkiem nie może wypaść więcej jak dwa grosze, a kanapka z japońskiem pieczonem boczkiem najwyżej grosz.

Bo do czego w ten sposób dojdziemy. Przymusowego posiadania dzieci u nas niema, Japończyki z towaramy sie pchają, to kto będzie kupował polskie wyroby?

A jak nikt nie będzie kupował, szwagier, któren jest szewc damski pasowy, ani jednej pary butów nie uszyje i mnie nigdy ani jednej bombki wódki nie postawi.

W taki sposób precz z japońskiem towarem!

Co słychać w polityce?

KOMPLETNE FIASCO

Takie jest nietylko u nas, i nietylko w bezpośrednio zainteresowanej Anglji, **ale na całym świecie, wrażenie** o wynikach rozmów Sir **John Simona** z **Hitlerem** i von Neurathem **w Berlinie.** Fiasco, w pierwszym rzędzie dla dyplomacji angielskiej, która po bezpośrednim kontakcie swych mężów stanu w Berlinie spodziewała się jeżeli nie konkretnych rezultatów w płaszczyźnie zakreślonej protokułem londyńskim z 3 lutego b. r., to przynajmniej jakiejś gotowości Niemiec do zatrzymania rozpoczętego wyścigu zbrojeń i ustalenia warunków współpracy międzynarodowej. Tymczasem warunki wysunięte przez Hitlera mogą być wszystkiem, tylko nie podstawą dla międzynarodowej współpracy z Niemcami. Bo jakże tu mówić o współpracy z kimś, który powiada „dobrze! zasiądę z wami do jednego stołu, jeżeli mi dacie wszystko co zechcę". A Niemcy chcą bardzo dużo, więcej niż wytrzymać może platforma pokojowa, na której rzekomo stoją. Rewelacyjne szczegóły o rozmowach berlińskich, podane przez prasę angielską i połowicznie jedynie sprostowane przez Berlin i to sprostowane dopiero wówczas, gdy się na Wilhelmstrasse spostrzeżono, że doniesienia dzienników angielskich znajdują szeroki i dla Niemiec niekorzystny odgłos w świecie, wskazują na bezpośrednie zagrożenie Polski, która mimo paktów z nami zawartych, pozostała upatrzoną ofiarą wojującego i jawnie do nowej wojny przygotowującego się germanizmu. Okrojenie Polski od zachodu przez odebranie nam Pomorza, części a może i całego Śląska, wzamian za ofiarowywane nam na wschodzie „Niederlandy", — oto najbliższy i konkretnie wysunięty cel polityki Niemiec narodowo-socjalistycznych. Nie brak u nas ludzi, którzy uwiedzeni mirażem „polskiego posłannictwa na wschodzie Europy", gotowi poświęcić pozycję naszą na zachodzie, zapominając o prawdzie w dziejach naszych bolesnem doświadczeniem półtorawiekowej niewoli potwierdzonej, **że Polska słaba nad Odrą, tem mniej utrzymać się będzie mogła nad Dniestrem.**

Bieg historji poparty własnem naszem zaślepieniem wyparł nas już z naturalnej naszej pozycji, stanowiącej bazę wypadową dla wszelkiej ekspansji naszej, z **nad Odry,** organizując nas do linji **Warty i Wisły.** Są to ostatnie nasze szańce, na których utrzymać się musimy, jeśli nie chcemy zatracić charakteru państwa zachodniego, i naszej pozycji wśród narodów europejskich.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 7. IV. do 13. VI. 1935 r.

Niedziela, dnia 7 kwietnia 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Transmisja Nabożeństwa 12.05 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny z Filharm. Warsz. 14.00 Melodje operetkowe i ulubione piosenki (płyty) 15.00 Pogadanka dla młodzieży wiejskiej 15.15 Orkiestra mandolinistów 15.22 „Przegląd rynków produktów rolnych" 15.35 Dalszy ciąg orkiestry mandolinistów 15.45 „Co należy wiedzieć o pielęgnowaniu roślin" 16.00 Koncert solistów 16.40 Recytacja prozy 17.00 Koncert 17.35 „Nora" — opowiadanie dla dzieci starszych 17.50 „Sportowiec" odczyt 18.00 Wiązanki marszowe (płyty) 18.20 Koncert Chórów Lwowskich 18.45 Zycie młodzieży 19.08 Wiadomości sportowe lokalne 19.13 Fragmenty symfoniczne 19.45 „Na pojezierzu mazurskim" — feljeton 20.00 Defilada małej orkiestry 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak żyjemy i pracujemy w Polsce" 21.00 „Loża Szyderców" 21.30 „Co czytać 21.45 Wiadości sportowe 22.15 Koncert 23.05 Muzyka lekka.

Poniedziałek, dnia 8 kwietnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Fantazje operowe i fragmenty chóralne (płyty) 12.45 „Wyprawka niemowlęcia" — pogadanka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.00 Koncert solistów 15.45 Koncert 16,30 Lekcja języka niemieckiego 16.45 Kwadrans słynnych artystów 17.00 „Przyleciały już ptaki" — pogadanka (z piosenkami) dla dzieci 17.15 Rezerwa ogólnopolska 18.00 Przegląd filmowy 18.10 Arje i pieśni 18.25 Chwilka społeczna 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 „Same polonezy..." — muzyka 19.15 „Skrzynka rolnicza" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Audycja strzelecka 20.00 „Coby było gdyby... — Koncert 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Koncert symfoniczny 22.15 Muzyka salonowa.

Wtorek, dnia 9 kwietnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Koncert 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.00 Włoskie pieśni 13.45 „Z rynku pracy" 15.45 Koncert 15.30 Opowiadanie dla dzieci młodszych pt. — „Mały kawałek wiosny" 16.45 Kwadrans słynnych artystów — Ada Sari (płyty) 17.00 „Skrzynka P. K. O." 17.15 Koncert kameralny 17.50 Skrzynka języków 18.00 Arje i pieśni 18.15 Fragment teatralny 18.45 Piosenki żołnierskie 19.15 Wiadomości rolnicze 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Koncert 19.50 Feljeton aktualny 20.00 W pięćdziesięciolecie pierwszego koncertu kompozytorskiego Ignacego Paderewskiego w Warszawie W przerwie: Dziennik wieczorny. „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 22.30 „Tradycje i zwyczaje angielskie (feljeton) 23.05 Dalszy ciąg muzyki lekkiej.

Środa, dnia 10 kwietnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Drobne utwory skrzypcowe 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.00 Koncert 15.45 Piosenki 16.30 „Wpływ wiosny na cerę" odczyt 16.45 Kwadrans słynnych artystów 17.00 „Polityka państw europejskich po wojnie" — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 O książce prof. Bystronia „Megalomanja narodowa" odczyt 18.00 Koncert na teorbanie 18.15 Wesoły sketch 18.30 „Skrzynka techniczna" 18.45 Fragmenty z Pasji 19.15 Pogadanka rolnicza 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.50 Feljeton aktualny 20.00 Melodje z filmów dźwiękowych 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.00 Koncert chopinowski 21.30 Odczyt w języku esperanckim pt. „Marja Curie-Skłodowska" 21.40 Koncert laureata I-go Międzynarodowego Koncertu skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w Warszawie 22.15 Muzyka lekka.

Czwartek, dnia 11 kwietnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 „Na naszem podwórku" — audycja dla szkół powszechnych 12.30 Szkolny Poranek Muzyczny ze Lwowa 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Dziennik południowy 13.10 Dalszy ciąg Szkolnego Poranku Muzycznego ze Lwowa 13.45 Z rynku pracy 15.45 Koncert 16.30 Pogadanka w w języku francuskim 16.45 Kwadrans słynnych artystów 17.00 „Skóra jako zwierciadło zdrowia i choroby człowieka" — reportaż 17.15 Teatr Wyobraźni 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Krótki koncert kameralny 18.15 „Conrad i świat" (poglądy społeczne) 18.30 „Skrzynka ogólna" 18.45 Melodje jazzowe 19.07 Zapowiedź programu na dzień następny 19.15 „Kącik dla młodzieży wiejskiej" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Drobne utwory skrzypcowe 19.50 Feljeton aktualny 20.00 Muzyka lekka 21.00 Transmisja z Teatru „La Scala" w Medjolanie. W przerwie I-ej: (ok. 21.50) Dziennik wieczorny oraz „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce. W III-ej (ok. 23.35) Odczyt w języku angielskim pt. „W puszczy białowieskiej" wygł. dr. Jarosławski.

Piątek, dnia 12 kwietnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Koncert 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.00 Utwory charakterystyczne 15.45 Koncert Orkiestry Straży Więziennej 16.30 „Chwilka pytań" — audycja dla dzieci starszych 16.45 Pieśni polskie 17.00 Dyskutujmy na temat pracy i poglądu na świat 17.15 Recital fortepianowy 17.40 Audycja dla chorych 18.10 Teatr Wyobraźni 18.30 Koncert reklamowy 18.35 Melodje z opt. 19.15 „Skrzynka pocztowa rolnicza" 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogolnopolskie 19.35 Piosenki 19.50 Feljeton aktualny 20.00 „Jak spędzić święto"? 20.05 Muzyka z płyt 21.00 Dziennik wieczorny 21.10 „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 21.15 Pogadanka muzyczna 21.25 Koncert z Filharmonji Warszawskiej 22.30 Recytacje poezyj 22.45 Nauki wielkopostne 23.05 Muzyka salonowa.

Sobota, dnia 13 kwietnia 1935 r.

6.00 Audycja poranna 8.00 Audycja dla szkół 12.05 Mnzyka 12.50 Chwilka dla kobiet 12.55 Dziennik południowy 13.00 Koncert 13.45 „Nasz handel morski" 14.45 Koncert muzyki lekkiej 15.30 Recytacje prozy 15.45 Koncert 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Kwadrans romansów skrzypcowych 17.00 „Gród Maćka Borkowica — Koźmin" — odczyt 17.10 Najnowsze nagrania na płytach 17.50 Pogadanka przyrodnicza 18.00 „Wesoła audycja dla dzieci" 18.30 Przegląd wydawnictw 18.45 „Imperio Argentina — Stefan Witas" 19.15 Wiadomości rolnicze 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Wiadomości sportowe ogólnopolskie 19.35 Recital śpiewaczy 19.50 Feljeton aktualny 20.00 Muzyka lekka 20.10 Pogadanka 20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej. W przerwie: Dziennik wieczorny oraz „Jak pracujemy i żyjemy w Polsce" 22.30 „Czasopisma literackie" 22.45 „Loża Szyderców" 23.20 Muzyka lekka.

Ze świata

Pochodzenie karety.

Nazwa karety jest włoska i tam ją najpierw zaczęto używać. Z początku posługiwały się nią tylko panie z wyższego towarzystwa, a Francesco da Barberino, współczesny Dantemu, zowie ją ze względu na kształt — „klatką" — gabbie. Pierwszą karetę miała małżonka Karola d'Anjon, dumna Beatricze z Prowancji. Odbyła ona w niej wjazd do Neapolu w 1266 roku. Otaczało ją czterystu paziów bogato ubranych, a kolasa była wybita błękitnym aksamitem haftowanym w złote lilje. Za czasów Franciszka I były tylko dwie karety w Paryżu, zresztą wszyscy podróżowali konno.

CHWILA ZASTANOWIENIA

ROZSYPANKA LITERACKA

uł. Danuta W.

Niech kto idzie po stokroć w imię dobrej sprawy
Ktokolwiek ster umacnia w burzy czasów
Błogosławiony kto podejmie światło u rozbitej
Kto wśród znoju krwawych walk [nawy
Rzuca sztandar pokoju i pracy na ziemi krawędzie.

Należy uporządkować wyrazy w ten sposób aby powstała zwrotka jednego z wierszy Wł. Bełzy.

ZAGADKA

Do litery dodaj siebie i jeszcze spółgłoskę,
A zapłyniesz nim z Warszawy, aż w mury krakowskie.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książki. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 12 kwietnia b. r.

Rozwiązanie z nr. 12 „Moich Powieści": Przekładanka: Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą. Domyślanka: Warto chociażby raz, na chwilę jedną, Położyć palce na dusz ludzkich ranie, I w lepsze światy zawieść rzeszę biedną, Prawdy i piękna dać jej pożądanie.

Trafne rozwiązania nadesłali: „Iwola" — Ludwik Dulat, Zbąszyń — Fryderyka Orzechowska, Granowo — Leopold Palarz, Rybnik — Wacław Bultrowicz, Gniezno — Marta Natopolska, Pelplin — Czesław Kozłowski, Warszawa — Henryk Silczyński, Warszawa — „Aleksiej" — Maksymiljan Dolata, Poznań — Czesław Deutsch, Toruń — Łucja Kokotowa, Mielęcin — Alicja Grątkowska, Włocławek.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Fryderyce Orzechowskiej, Granowo i Czesławowi Deutschowi, Toruń ul. Katarzyny 12.

Czytajcie i rozpowszechniajcie
„MOJE POWIEŚCI"

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

30)

„Ja jestem przybocznym lekarzem księcia!", dał się słyszeć jakiś drugi głos, — „ja biorę wszystko na siebie, na własną odpowiedzialność! Pozwólcie mi zobaczyć więźnia, — muszę się z nim rozmówić! — Zawołajcie dyrektora tego zakładu, — on wam w tej chwili powtórzy rozkaz, jaki wam dałem!" — Kazimierz słaniał się, — niepewnym krokiem dotarł do łoża. Blady jak śmierć, drżąc na całem ciele, upadł tuż u krawędzi łóżka na podłogę. Słyszał jakiś u jego drzwi stuk, — kroki, — wsuwanie klucza, — zgrzyt zamku — — — drzwi rozwarły się, jasny blask latarni wpadł do jego ciasnej celi z taką siłą, że musiał mimowoli przymknąć oczy, nieprzyzwyczajone do takiego światła; — dopiero po chwili roztworzył je.

Nie, to niemożebne, żeby to było snem, — przecież nie spał, — postacie ludzkie z ciała i z krwi, nie fantomy stały tuż przed nim. — Hrabia Zygmunt Sokolski podbiegł ku niemu i porwał go z okrzykiem radości w swoje ramiona. — —

„On żyje!" wołał hrabia Sokolski z najwyższem rozczuleniem, „żyje! — Kazimierz, — mój przyjaciel, — ach, jakżeż jestem szczęśliwym, że mogę pana uścisnąć, przycisnąć do mego serca, — ale tysiąc razy większe, ważniejsze jeszcze szczęście muszę panu zwiastować:

„Pańska niewinność wyszła na jaw. Niewinnie zasądzono pana, — niewinnie zamknięto w tym więzieniu, — o nie, mój biedny, nieszczęsny, tak srogo doświadczony przyjacielu, tyś nie popełnił tej zbrodni w zamku Sokolskich!"

Kazimierz milczał, nie mógł znaleźć słów odpowiedzi, — leżał na piersi hrabiego bez ruchu, oddychając ciężko. Nagle począł płakać, rozszlochał się tak rzewnie jak dziecko.

„Pomóżcie mi, konsyljarzu", zawołał Zygmunt, zwracając się w stronę lekarza, „on słania się, — nie mogę go utrzymać, — widzi pan, pada na krawędź łóżka jakby chciał umierać."

„Nie umrze!" zawołał tajny radca, „z radości nie umiera się tak łatwo! — Pozwólcie mu tylko trochę przyjść do siebie; — panie hrabio Zamski, proszę się uspokoić, proszę być mężnym i zapanować nad sobą, — tak dzielnie przetrzymałeś pan cały ten los okropny, tyle zmartwień i boleści, — niechże teraz radość nie pokona zahartowanej woli, proszę się okazać silnym, — okaż się pan mężczyzną!"

„Ach, ja pokonałem się przecie i zapanowałem nad sobą", zawołał Kazimierz, „kiedy mnie ślepy los ciosami niby gromem przygniótł do ziemi, — ale teraz, kiedy z pańskich ust panie hrabio Sokolski słyszę, że moja niewinność dowiedziona, — teraz odczuwam to w dwójnasób tak boleśnie, że mnie, — hrabiego Zamskiego, — mogli uważać za zdolnego do popełnienia takiego niecnego występku. — — Nie uczyniłem w życiu nigdy coś takiego, coby mogło dać powód do uważania mnie za mordercę, a przecież, — moi sędziowie potępili mnie, — mój rodzony ojciec opuścił mnie! — O, moi panowie, nie przestąpię progu mego więzienia jako ten sam. Byłem młodzieńcem pełnym nadziei, kiedy mnie wprowadzono do tego gmachu i kiedy się rozpoczął mój proces. Wówczas świeciło jeszcze słońce i dla mnie, — pachniały kwiaty, — wówczas byłem przekonanym, że wszystko, czego się dotknę, uczyni mnie szczęśliwym, — ale teraz. — Czy nie widzicie moi panowie, jakem się postarzał; — o dziesięć lat stałem się starszym w tej celi, w tym jednym dniu!"

Głos uwiązł mu w gardle, łzy nie pozwoliły mu dalej mówić, — pełen rozpaczy ukrył twarz w dłoniach, — ze współczuciem spoglądał na niego hrabia Zygmunt i tajny radca.

Sam dyrektor więzienia, który dotychczas obchodził się z nim ostro i surowo, przystąpił obecnie do nieszczęśliwego więźnia i kładąc mu rękę na ramię, odezwał się serdecznie:

„Sędziowie, panie hrabio Zamski, którzy pana osądzili, są ludźmi, — a ludzie mogą się zawsze omylić. I ja byłem z panem przedtem ostrym i surowym, musi mi pan to przebaczyć, — bo widzi pan, ja jestem przyzwyczajony być otoczonym całą pełnią kłamstw i udawania, oszukaństwa i podłości, a to robi człowieka surowym, — odbiera wszelakie współczucie, — pomału musi się każdy z nas nauczyć być człowiekiem niedowierzającym! Ale właśnie dlatego cieszę się podwójnie, że mogę w tym budynku podać moją dłoń niewinnemu. — Proszę o pańską rękę, panie hrabio, — czuję się szczęśliwym i dumnym, że mogę uścisnąć prawicę człowieka honoru."

„A teraz, panie dyrektorze", zwrócił się do urzędnika hrabia Zygmunt, „nie będzie pan zapewne wzbraniał się wypuścić niewinnego, aby ani minuty dłużej nie potrzebował przebywać w tym smutnym domu. — Ja, — hrabia Zygmunt Sokolski, daję panu w zastaw moje słowo honoru, że zaraz jutro poproszę o audjencję u ministra sprawiedliwości, który jest nawet moim przyjacielem. Objaśnię mu całe zdarzenie, on postara się już o to, aby wszystko w krótkiej drodze zostało uregulowane. Gazety muszą opublikować, że hrabia Kazimierz Zamski został skazanym niewinnie, — i żaden rozumny człowiek nie przypomni sobie w późniejszym czasie na ten proces inaczej jak tylko z głębokim smutkiem, że ludzka sprawiedliwość tak niedostateczna, na tak kruchych nogach!"

Dyrektor więzienia spoglądał na hrabiego Zygmunta poważnie i ze smutkiem.

„To, czego pan ode mnie żądasz, panie hrabio", odezwał się, „jest niemożliwem, — nie wątpię w to bynajmniej, że cała sprawa ma się tak, jak mi pan opowiada, ale — ja nie mam żadnego pisemnego rozkazu w rękach, — a bez takiego ważnego dokumentu nie mogę pana hrabiego Zamskiego wypuścić."

„Masz pan słuszność", zawołał przyboczny lekarz księcia, „jesteś pan urzędnikiem i musi pan tak postępować, jak panu przepis nakazuje. Ale to nie powstrzyma nas w wyrobieniu natychmiastowej wolności dla młodego hrabiego. — Udam się natychmiast do ministra sprawiedliwości. — W pół godziny będę z powrotem, — wręczę panu dokument, który nakaże wolne wypuszczenie hrabiego Kazimierza Zamskiego."

„Proszę się spieszyć", zawołał Zygmunt, „każda minuta, którą hrabia Kazimierz zmuszony tu przesiedzieć, jest nową zbrodnią na nim."

Natychmiast pożegnał się tajny radca. Dyrektor odprowadził go aż do powozu, chciał się przysłużyć tak znacznej osobistości, która wskutek częstego pobytu z księciem miała na dworze ogromne wpływy.

„A teraz, hrabio Kazimierzu", odezwał się Zygmunt, „niech się pan uspokoi. Przeszedł pan pierwsze wrażenie i tę nagłą niespodziankę, — musi pan przecież przyznać, że ma pan wszelkie widoki wesołej, szczęśliwej przyszłości."

„Tak pan sądzi?" wykrztusił Kazimierz z trudem, „tylko pod jednym warunkiem mogłoby się to sprawdzić, a ten warunek to połączenie się z moją ukochaną, z moją narzeczoną."

„Ach prawda, pan mówi o tem dziewczęciu ze zakładu doktora Morizano?" zawołał Zygmunt. „Dlaczegożby się panu nie miało udać odszukać napowrót tego dziewczęcia? Opowiadał mi pan przecie, że została ona gwałtem zatrzymaną przez doktora Morizano; — choćby i tak było, znajdzie pan przecież środki i drogi do uwolnienia tej panienki. I chociażby doktor Morizano nie dał się nakłonić prośbami do tego kroku, może sobie pan wyrobić policyjne pozwolenie przeszukania jego zakładu."

Zygmunt, wypowiedziawszy te słowa, podniósł się z niecierpliwością z kraju łóżka, na którem usiadł sobie obok Kazimierza, począł niespokojnie mierzyć małą celkę szerokimi krokami. Nagle stanął przed młodym Kazimierzem i westchnął głęboko i boleśnie.

„Ach, pan nie przeczuwasz, kochany Kazimierzu", zawołał mimowoli, „jak wielką ofiarę poniosłem dla pana. — Już w drodze do pana napotkałem na straż pożarną, — jechała do mego zamku, — powiedziano mi, że stoi on w płomieniach."

„I pomimo tego nie kazałeś pan zawracać?" zawołał Kazimierz, przyskakując do hrabiego, „pomimo tego przybyłeś pan do mnie, aby mi przynieść wiadomość o wykazaniu się mojej niewinności, — mój los leżał panu więcej na sercu, aniżeli własny zamek i główy najdroższych?"

„Ja wypełniłem tylko mój obowiązek", odparł Zygmunt, „wiedziałem przecież Kazimierzu, że życie pańskie wisi na włosku, — proszę wyznać, przybyłem może o minutę za wcześnie? — Nie potrzebuje mi pan nawet odpowiadać, — tam na środku celi leży rozbita flaszeczka, trucizna wylała się na podłogę. — Nieprawdaż, flaszeczka wypadła panu z ręki dopiero wówczas, jak usły-

szał pan z moich własnych ust o wykazaniu się niewinności pańskiej?"

„Tak, mój przyjacielu", zawołał Kazimierz i zimny dreszcz przebiegł mu przez ciało na myśl, że gdyby się hrabia był spóźnił, leżałby na podłodze celi teraz już jako trup, masa bezduszna; — „tak, hrabio Zygmuncie, ani minuty zawcześnie nie przybyłeś pan, — trzymałem już flaszeczkę tuż koło ust i —"

Dyrektor więzienia wpadł w tej chwili do celi z oznakami przerażenia.

„Co ja słyszę, panie hrabio Sokolski", zawołał „w pańskim zamku był wielki ogień, — ale mogę panu wesołą nowinę zwiastować, pożar ugaszony, właśnie w tej minucie zameldowano mi to. Pożar wszczął się w stajni końskiej, pomału groził piętrom zamku, na szczęście udało się naszej dzielnej straży pożarnej zlokalizować go i wreszcie przytłumić, — najważniejszem, że ani jeden z ludzi ani żadne zwierzę nie odniosło szkody, — wszystko wyszło cało".

Hrabia Zygmunt złożył ręce jakby do modlitwy. Z podniesionym wzrokiem w górę wyszeptał:

„O Boże, dziękuję Ci, zachowałeś mi wszystkich sercu memu drogich przy życiu i uratowałeś również tego oto młodego przyjaciela". — — —

Pół godziny upłynęło dość prędko; jakby na minutę, punktualnie zjawił się we drzwiach przyboczny lekarz księcia, — w ręku trzymał jakiś papier, — podniósł go wysoko, wołając już z daleka do dyrektora więzienia:

„Proszę czytać, masz pan rozkaz pod pisany przez samego ministra sprawiedliwości, — sądzę, że to panu wystarczy?"

„Najzupełniej", odparł dyrektor zakładu karnego, przebiegając oczyma treść pisma, „teraz wszystkie formalności załatwione. — Panie hrabio Zamski, pan jesteś wolnym, — zaraz przyślę panu ubranie pańskie, proszę czemprędzej zdjąć ten ohydny strój aresztanta, — nie stety byłem zmuszonym wpakować pana w niego".

„Ja miałbym jedną prośbę do pana, panie dyrektorze", odezwał się Kazimierz, „proszę mi odsprzedać ten mój ubiór aresztancki, chcę sobie go wziąść ze sobą na pamiątkę, — będzie on dla mnie przypomnieniem tego okrutnego czasu próby, zarazem powstrzyma mnie od wyrządzenia komukolwiek najmniejszej szkody lub krzywdy. Mojem zdaniem nie los temu winien, że człowiek popada w takie fatalne położenia, — my sami jesteśmy winni, — własne nasze niedowierzanie, podejrzywanie rujnuje szczęście bliźniego często najniewinniej w świecie."

„Ależ z największą chęcią odstąpię panu ten szary mundur", zawołał dyrektor, „proszę mi tylko podać adres, gdzie go mam posłać".

„Prawda", zawołał Kazimierz, uśmiechając się słabo, „teraz siedzę w klatce, niewiem nawet, jaki adres mam podać, moje poprzednie mieszkanie zapewne już wynajęte —"

„Ależ panie Kazimierzu", przerwał mu hrabia Zygmunt, „możeszże pan powątpiewać w to, że będziesz mi bardzo miłym gościem? Jak długo pan zabawi w rezydencji, musi pan zamieszkać u mnie, proszę zaraz zakwaterować się w moim zamku jak we własnym domu!"



Silne opady w górnym biegu Missisipi spowodowały wielkie powodzie. Missisipi i jej dopływy wystąpiły z koryta, zalewając wielkie tereny. Na ilustracji fragment z dotkniętego powodzią miasta Jackson.

„Dziękuję panu serdecznie, panie hrabio", odparł Kazimierz, „za to miłe zaproszenie i proszę zarazem przebaczyć, że nie będę korzystał z pańskiej dobroci i uprzejmości, ale zrozumie mnie pan zapewne, że teraz nie mogę przestąpić progu pańskiej siedziby, zanadto żywe i bolesne byłyby dla mnie przypomnienia świeżo zaszłych faktów. — Proszę pana, panie dyrektorze, posłać mi to ubranie do pierwszorzędnego hotelu rezydencji, — tam zamieszkam podczas mego pobytu tutaj, dopóki nie załatwię najważniejszych moich spraw".

W dziesięć minut później opuszczał Kazimierz siwe mury więzienne jako wolny obywatel.

Stanąwszy na pierwszym stopniu schodów odetchnął głęboko świeżem powietrzem cudnej nocy. —

Gwiazdy świeciły uroczo na niebie, jakaś błoga cisza rozpostarła się po ziemi, — Kazimierz oddychał długo i głęboko! — Wolny! — Dwie wielkie łzy zabłysły mu w oczach. Staczając się powoli po twarzy padły na kamienny stopień, na którym stał właśnie.

„Kiedyż my się znowu zobaczymy, kochany przyjacielu?" zabrzmiał tuż za nim głos hrabiego Zygmunta, „bo nieprawdaż, chociaż teraz nie może pan zamieszkać u mnie, co najzupełniej rozumiem, przecież nie zapomni pan mnie, nieprawdaż? — Możesz być przekonanym, panie Kazimierzu, że pokochałem pana serdecznie, całem sercem".

„Pan hrabia nie zobaczy mnie prędzej", odezwał się Kazimierz, „dopóki nie będę w stanie przedstawić panu mojej kochanej dziewczyny ze zakładu obłąkanych, która ma w przyszłości zostać hrabiną Zamską".

„Będzie mi bardzo przyjemnie poznać ją", zawołał Zygmunt, „dziewczę, któreś pan tak silnie pokochał, musi być zacne i szlachetne, choćby nawet było niższego rodu.

„Bądź pan zdrów, panie hrabio Zamski, — niech Bóg prowadzi pana na dalszej drodze i wspiera w przedsięwzięciach jego, życzę panu, abyś pan jak najprędzej spotkał się ze swoim ukochanym ideałem!"

Powóz hrabstwa Sokolskich uwiózł wkrótce Zygmunta i tajnego radcę, — Kazimierz kroczył sam jeden w ciemną noc, ale nowa nadzieja ożywiła jego umysł, serce poczęło bić mu żywiej, ze świeżemi siłami wszedł w nową fazę życia.

„Wolnym!" wyszeptał, „dobrze, niebo dało mi ten złoty dar wolności tylko po to, abym oswobodził moją Anielcię, bym ją uszczęśliwił, podniósł do godności żony, moje ukochane nadewszystko, drogie dziewczę."

XLI.

Uprowadzenie

Anielcia siedziała w powozie, — naprzeciw niej książę Slatkow.

Daremnie siliła się otworzyć drzwiczki, napróżno wołała o pomoc, obecnie siliła się zmiękczyć prośbami okrutne serce swego uprowadziciela.

„Proszę tylko wziąć na uwagę, książę, że ten, którego ukochałam nad życie, — siedzi niewinnie we więzieniu, — oskarżono go o zbrodnię. Tylko ja mogę go uratować, bo ja tylko znam rzeczywistego mordercę. Ja zaklinam pana, proszę mieć litość, — proszę mnie uwolnić, otworzyć powóz, ja nikomu nie zdradzę, żeś mnie pan chciał uwieść. Proszę mi pozwolić wyjść, rozchodzi się o uwolnienie szlachcica, arystokraty, hrabiego Kazimierza Zamskiego, który niewinnie o tak straszną zbrodnię posądzony."

„Uspokój się tylko, moja Anielciu", odparł książę obojętnie, „tem, czem ci był Kazimierz Zamski, chcę ja zostać obecnie, — zamienimy się tylko na role."

„To oburzające", zakrzyknęła Anielka, „Kazimierz był mi wszystkiem, przysiągł mi, że będzie tylko do mnie należał, że mnie tylko pojmie za żonę."

„Głupie dziecko", zaśmiał się książę Slatkow, „jak możesz w coś podobnego wierzyć! Twój Kazimierz nie myślał zupełnie tego na serjo, — on chciał cię tylko posiąść, aby użyć twojej młodości i piękności. Właśnie z takim samym zamiarem noszę się i ja."

Anielcia zakryła sobie twarz obu rękami, — rumieniec oblał jej policzki, — czuła się tak niewymownie nieszczęśliwa, że zaczęła rzewnie płakać, zapominając nawet na chwilę w jakiem strasznem niebezpieczeństwie się znajduje.

„Książę, zmiłuj się pan nade mną, powróć mi pan wolność, każ zatrzymać konie woźnicy, — racz mi dozwolić, że wysiędę. Pieszo udam się z powrotem do miasta, — ja przysięgam panu, zaklinam się na dobro mojej duszy, że nigdy nikomu nie zdradzę, co pomiędzy nami zaszło w ostatnich godzinach. — Ja muszę spieszyć do Kazimierza. O, książę, — wypuść mnie wolno, a ucałuję twoje ręce."

„A ja twoje ładne usteczka, Anielciu", zawołał książę, „nie żądam twojej wdzięczności, tylko twojej miłości."

„Dobrze", wydobyła ze siebie z rosnącym niepokojem, kierując swoje przerażone, szeroko rozwarte oczy na bladą twarz księcia, „w takim razie nie otrzymasz pan ani mojej miłości ani wdzięczności, bo żywej nie dowieziesz mnie do Rosji. — Jeżeli panu wystarczy mój trup, ha, w takim razie proszę mnie wieźć dalej, — zaręczam panu, że przy końcu podróży będziesz pan w posiadaniu mego martwego ciała, dusza umknie z niego, — tej nie zdoła pan zatrzymać, choćbyś pan posiadał wszystkie skarby świata, — duch mój uleci i opuści swoją powłokę, — musi uciec, bo on należy tylko do Kazimierza, do mego jedynego ukochanego."

Książę Slatkow poruszył tylko ramionami, nie reagował więcej na jej prośby i zaklęcia, — od czasu do czasu porozumiewał się zapomocą tuby ze swoim stangretem. Konie zdawały się być ze żelaza, bo nie ustawały w biegu. Powóz toczył się coraz dalej i dalej przez nieznane okolice w cieniach nocy. Ani żywej duszy nie było nigdzie widać, ciemność zalegała gęsta. — Wreszcie poczęło się od strony wschodu różowić nieco niebo. Dżdżysty blady poranek wyłonił się z poza chmur.



Budowa olbrzymiego francuskiego parowca „Normandja" jest już na ukończeniu. Niebawem olbrzym ten rozpocznie próbę pływania. Jak wiadomo, „Normandja" będzie największym okrętem pasażerskim świata. Pojemność kolosa wynosi około 75 tys. tonn. Na rycinie widzimy „Normandję" w doku.

Anielcia trzymała się przez ten cały czas dość dzielnie. Ani razu nie zmrużyła oczu, chociaż sen ją strasznie napastował. Dopiero nad ranem poczęły jej się oczy kleić, straszne znużenie napadło ją. Całym wysiłkiem energji broniła się przed coraz więcej dającą się czuć potrzebą wypoczynku, — nie chciała spać, bała się snu. Jak długo miała oczy otwarte, była pewną przynajmniej przed najgorszem, ale jak ją sen zmorzy, jak nie będzie więcej w stanie trzeźwo myśleć, wówczas —

„Nie, — nie bój się, me serce", szeptała Anielcia sama do siebie, „śmierć nie jest najgorszem złem, ona oczyszcza nawet hańbę, — śmierć, — ha, ja nie drżę na myśl tego snu na zawsze, który uwalnia nas dobrotliwie od wszelkich cierpień i katuszy, — jedno tylko boli mnie, że nie mogę zobaczyć kochanego oblicza Kazimierza zanim zamknę me oczy na zawsze."

Powóz zatrzymał się nagle. Znajdowali się w jakiemś otwartem polu. Książę wyjął z kieszeni klucz i otworzył za pomocą jego jedne drzwiczki powozu, poczem wysiadł sam.

„Nie chcesz na chwilę przejść się po świeżem powietrzu?" spytał Anielci, „to cię orzeźwi."

Anielcia wysiadła także, miała słabą nadzieję, że potrafi przecież wymknąć się niepostrzeżenie i uciec przed księciem. Wprawdzie wiedziała, że nogi nie poniosą jej tak prędko i że konie dogonią ją w każdym razie niedługo, ale przecież może jej się uda spotkać gdzie jakiego mieszkańca pobliskiej wsi, tego chciała prosić o pomoc, błagać go, aby zawiadomił najbliższą żandarmerję, chciała mu wyznać, że ją książę porwał porwał przemocą.

Ale książę wybrał to miejsce aż zanadto dobrze.

Anielcia poczęła się rozglądać, ale nigdzie nie mogła spostrzec jakiejś wieży kościoła, ani domu, ani żadnej ludzkiej istoty.

„Tutaj posilimy się nieco!" odezwał się książę, „Iwan, prędko podaj nam śniadanie."

Ze zdziwieniem i przerażeniem zarazem spostrzegła Anielcia, że książę dobrze obmyślił plan ten cały jej porwania, że zaopatrzył się we wszystko potrzebne do podróży tak dokładnie, że nie potrzebował nawet wstępować do jakiegoś zajezdnego domu.

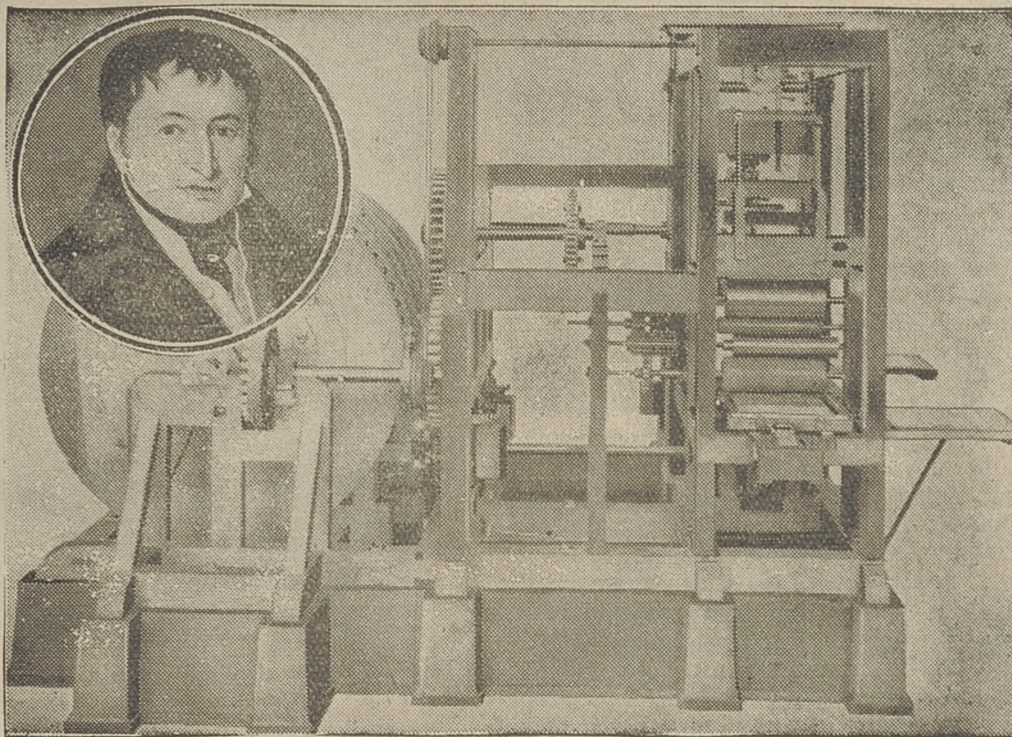
Karoca miała pomiędzy tylnemi kołami wbudowaną wielką skrzynię.

Iwan otworzył ją właśnie i zajął się wydobywaniem pojedyńczych, potrzebnych, elegancko sporządzonych przedmiotów.

Wyjął dwa stołki polowe, stół o jednej nodze, który dawał się także sztucznie otwierać i składać, ładny mozaikowy blat, który nakrył śnieżnobiałym obrusem. W parę minut stanęło wszystko gotowe. Książę zaprosił eleganckim ruchem ręki Anielcię do śniadania.

W środku skrzyni musiał się znajdować jakiś elektryczny piecyk, bo niedługo poczęła się wydobywać para z naczynia i woń jakiejś doborowej herbaty rozeszła się wokoło.

W pięć minut począł brodaty Iwan usługiwać. Na srebrnej tacy przyniósł dwie ładne chińskie filiżanki, napełnione wonnym napojem. Na małej tacce obok stała karafka z rumem, cukier i cytryny,



29 marca 1810 roku technik Fryderyk Koenig opatentował w Londynie pierwszą maszynę drukarską, która dokonała przewrotu w drukarstwie. Na zdjęciu widzimy wynalazcę i jego maszynę.

leżały tuż obok, na kilku talerzykach były poukładane gustownie dalsze przysmaki: kawior, sardynki, szynka, polędwica na zimno i biszkopty.

Anielcia nie chciała z początku niczego kosztować, — książę Slatkow, który z apetytem popijał doskonałą herbatę widząc to, zaczął jej przemawiać do rozsądku.

„Proszę pani“, odezwał się, „pani nie powinna dążyć do tego, aby utracić swoje siły. Jeżeli pani zasłabnie, będzie jej ta podróż sprawiała podwójne katusze, o jakiejś ucieczce niema ani mowy, proszę sobie wybić z myśli wszelkie podobne nadzieje, ja zaręczam pani, że ją dowiozę do domu bez względu na to, czy żywą czy umarłą, — dowieźć muszę do mojego zamku. Zresztą, jeżeli pani nic nie będzie jeść osłabi przez to tak swój organizm, że nie będzie jej możebnem wrócić później, jeżeli ją wypuszczę wolno, do swojej ojczyzny, do swego ukochanego. Ja radzę pani tylko dobrze, proszę nie osłabiać swoich sił, swojej energji, proszę się posilić, — zresztą proszę robić co się pani podoba!“

Anielcia przyznała w duszy słuszność Rosjaninowi, — najwięcej szkodziła sama sobie wzbranianiem się przyjęcia pokarmu, — musiała przecież pozostać przy siłach, musiała być każdej chwili gotową do odporu, to było najważniejszem dla niej obecnie.

Pokonała swój wstręt i napiła się filiżankę herbaty. Gorący napój orzeźwił wszystkie jej członki, do tego zjadła nieco kawioru, który jej podał zgrabnie książę na talerzyku.

Anielcia spostrzegła, że książę spieszy się nadzwyczaj ze śniadaniem. Jego ukradkowe rozglądanie się na wszystkie strony, niepokój malujący się w twarzy zdradzały go. Bał się widocznie, aby przypadkiem ktoś nie przybył, ktoby mógł być pomocnym Anielci.

W dziesięć minut najdalej podniósł się ze stołka i zawołał:

„Musimy jechać dalej!“

Jeszcze raz rozglądnęła się Anielcia wokoło, rozpaczliwie szukała za wybawcą, — niestety nie chciał się żaden zjawić! Nie pozostało jej nic innego, jak znowu wstąpić do powozu, dać się w nim powtórnie zamknąć. Zaledwie się oparła wygodnie o miękkie poduszki, sen, który tak dziarsko odganiała od siebie przez całą noc, począł ją znowu nagabywać. Walczyła jeszcze jakiś czas, ale myśli jej stawały się coraz więcej fantastyczne, jasność poglądu znikała z każdą minutą, niewiedząc kiedy zasnęła mocno. Sen jej trwał bardzo długo. Sprytny książę, czekając tylko na tę chwilę potarł jej czoło jakimś usypiającym narkotykiem i powtarzał to częściej, tak, że budziła się tylko na chwilę zmęczona, aby się posilić nieco i wpaść znowu w długi mocny sen.

Tak starał się książę przedłużać ten nienaturalny stan porwanej.

Parę dni upłynęło od tego czasu.

Nieszczęśliwa dziewczyna przebudziła się właśnie rozglądając się wokoło coraz więcej świadomym wzrokiem, przypominając sobie pomału, co się z nią stało. Znajdowała się już poza granicą rosyjską, po drugiej stronie.

Jak długo spała, z tego nie mogła sobie zdać sprawy, ale z odmienności kraju i flory zrozumiała, że już jest w terytorjum rosyjskiem.

Straciła resztkę nadziei! Cóżby jej teraz pomogła nawet ucieczka w całkiem nieznanym kraju, którego języka ani dróg, ani ludzi nie znała! Gdzież miała się udać? Kogo miała pytać?

Gdyby nawet udało jej się uciec od księcia Slatkowa, któżby jej ręczył, czyby się nie dostała w jakieś gorsze jeszcze ręce? Natura wyposażyła ją we wszystkie wdzięki, które w zwykłych stosunkach mogłyby być dla niej błogosławieństwem, obecnie jednak były przekleństwem.

Czyż piękność jej nie sprowadziła obecnego nieszczęścia na nią? Czyż nie była ona w stanie rozpalać grzeszne żądze w piersiach innych licznych jeszcze mężczyzn!

Nie pozostało Anielci nic innego jak zdać się na swój los obecny i chcąc nie chcąc jechać dalej z księciem Slatkowem, dokąd ją tenże zawiezie.

Zresztą gdyby nawet nie chciała tego, nie znalazłaby obecnie sposobności do zmiany losu.

Książę unikał, o ile mógł, wszystkich większych miast, — jechał od wsi do wsi i to po największej części tylko w nocy, w dzień przebywał tylko ciemne rozległe lasy. Był zaopatrzony dostatecznie w zapasy, więc nie potrzebował nigdzie robić większych przystanków, co najwięcej, że tu i owdzie dopełnił spiżarni co zresztą nie wymagało dłuższej stacji. — —

Słabą pociechę dla Anielci stanowiło zachowanie się księcia. Podczas całej podróży ani razu nie atakował jej; przeciwnie starał się ją zabawiać wesołą, ale przystojną rozmową. Pomimo, że nienawidziła tego człowieka, musiała mu przyznać, że przewyższa ją inteligencją i doświadczeniem, jakie zebrał podróżując po rozmaitych krajach.

Slatkow rozmawiał z Anielcią możnaby powiedzieć w ojcowskim tonie. Tylko, gdy go pytała, gdzie się znajduje, wymijał zawsze to zapytanie, wykręcał się jak mógł pozostawiając ją w zupełnej nieświadomości położenia.

Anielcia miała także sposobność podziwiać odwagę księcia. Było to o strasznej godzinie, o której nawet [illegible] tylko ze drżeniem myślała. — — —

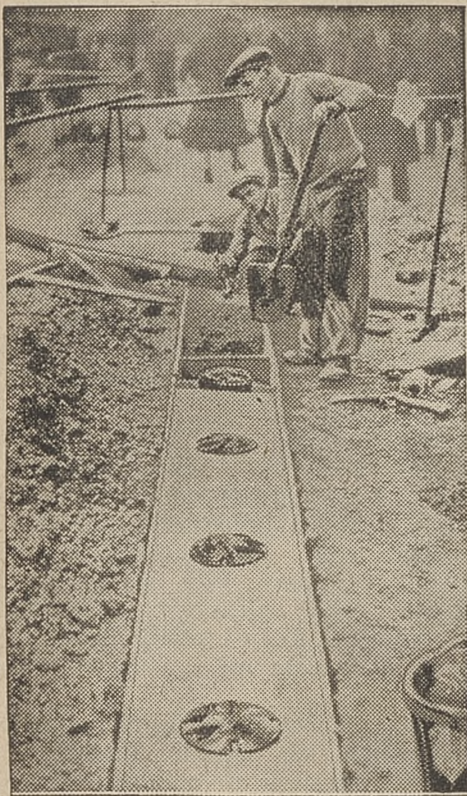
Było to może siódmej nocy ich podróży. Anielcia nie mogłaby tego dokładnie oznaczyć, bo nie wiedziała jak długo trwał jej nienaturalny sen. — Noc była ciemna, ani jedna gwiazda nie migotała na horyzoncie, tylko latarnie powozu oświecały słabo drogę, o krok nie można było niczego widzieć, ba, nie ujrzałby nawet własnej dłoni trzymanej tuż przed oczyma. Najzupełniejsza cisza panowała wokoło; — nagle jakieś wycie rozdarło ciszę nocną, wkrótce potem, drugie i trzecie coraz bliżej, coraz przeciąglej, coraz straszliwiej. Wycie to strasznie podziałało na nerwy Anielci, zbladła jak chusta, trzęsąc się ze strachu, przytuliła się do poduszek powozu.

„Wilki!“ zawołał książę Slatkow krótko, z dziwnym spokojem. „Wiedziałem, że te bestje nas nie oszczędzą!“

„Iwan, broń trzymać w pogotowiu. Przypuszczam, że niedługo poczną nas atakować.“

Ostatnie słowa wymówił książę przez tubę, która służyła specjalnie do porozumiewania się z woźnicą, i wychodziła aż do góry kozła.

Nagle zabłysły jakieś dwa światełka obok powozu, para świecących się ślepi wilczych zjawiła się tuż koło szyby. Ponowne wycie, cztery rosłe wilki poczęły uganiać tuż koło powozu, chcąc dostać się do koni.



Na ulicach Paryża zostały miejsca przechodzenia przez jezdnię dla piechurów oświetlone specjalnemi znakami świetlnemi.

Książę i Iwan nabijali swoje karabiny, zawierające po dwadzieścia cztery ładunki w sobie.

„Dlaczegoż pan nie strzela?“ zawołała Anielcia. „Tam po prawej stronie widzę jednego, zaczyna skakać do powozu, gotów nam szybę rozbić.“

„Zaraz mu ułatwimy zadanie. Przedewszystkiem spuścimy szybę, bo szkoda, żeby ją wytłoczył, — tak, teraz może się zbliżyć!“

Tymczasem z czterech wilków zrobiło się dwadzieścia, zdawało się, że cały las zaroił się od tych bestji. Strasznie było patrzeć na ich rozdziawione paszczęki, krwią zaszłe oczy i wywalone języki, z których spływała biała piana. Może minutę pędziło to wszystko tuż obok powozu, konie postulawszy uszy pędziły ostatkiem sił niby wiatr.

Nagle zagrzmiał wystrzał.

Iwan wypalił i to w samą porę. Jeden z największych wilków poskoczył ku szyi naramiennego konia, już próbował strasznem ukąszeniem przegryźć arterję biednemu zwierzęciu, gdy w tem celny strzał powalił go na ziemię; kulka przeszła mu nawskroś przez czaszkę; śmiertelnie raniony począł się tarzać po ziemi.

Konie poczęły na nowo pędzić, tak, że piana poczęła im padać z pysków grubemi płatami. Iwan popędzał je także, ale nie było tego nawet potrzeba, biedne zwierzęta czując w pobliżu nieprzyjaciela goniły nie dotykając prawie ziemi kopytami.

Znowu na jakiś czas zapanowała grobowa cisza; — tylko od czasu do czasu słychać było głuche wycie.

„Czy się zebrały już wszystkie, Iwanie?“ spytał książę Slatkow przez trąbę głosową. „Ile ich może być teraz?“

„Panie, ja naliczyłem ich trzydzieści.“

„To będzie zapewne cały rudel“, odpowiedział książę, „a teraz trzeba im będzie parę kulek posłać, pozostałe przy życiu rzucą się na swoich zabitych towarzyszy, aby ich pożreć, tymczasem uda nam się wyprzedzić ich o jakie tysiąc kroków. A więc do dzieła, a dobrze celować!“

Kulki poczęły świstać jedna za drugą, prawie każda trafiała, — książę nie mylił się, pozostałe przy życiu bestje rzucały się w tej chwili na zabitych i rozdzierały je w kawałki.

Konie wykorzystywały każdą chwilę, trwoga dodawała im sił, goniły bez przestanku galopem. — —

Nagle dał się słyszeć jakiś trzask, silne wstrząśnienie dało się czuć w powozie, — począł się chylić na prawą stronę.

Iwan, pomimo tego, że latarnie rzucały blask na drogę najechał na jakiś pniak, tak, że prawe koło złamane, widocznie odleciało od powozu.

„Do djabła, teraz zacznie się walka na serjo!“ zawołał książę Slatkow, „teraz musimy walczyć na śmierć lub życie, ale na honor, łatwo nie damy się, — drogo sprzedamy nasze życie. O Anielciu, przebacz mi, żem winny może twojej tak wczesnej śmierci!“

Anielcia nie odpowiadała, ale ta rzewna prośba, to serdeczne słowo rozbroiło ją zupełnie! To dziwne, ale przecież prawdziwe. Mężczyzna, choćby zepsuty do gruntu, jeżeli nie ulęknie się niebezpieczeństwa, jeżeli dzielnie spojrzy śmierci w oczy wywiera mimowoli na serce kobiece pewien czar, podbija je swoją energją, swoją siłą fizyczną, żadna kobieta nie jest w stanie oprzeć się temu idealowi siły męskiej.

„Proszę zostać w powozie!“ zawołał książę, „ja będę pani bronił. Hola, Iwan, złaź z kozła, — teraz trzeba pokazać tym bestjom, żeśmy nie niańki tylko mężczyźni!“

W następnej chwili stanęli przed powozem, — Anielcia została sama jedna w środku karocy.

Jakkolwiek książę i jego sługus nastrzelali już dosyć wilków, została ich przecież jeszcze spora liczba zagrażająca niebezpieczeństwem dla tych obu śmiałków tem bardziej, że musieli na nowo ładować karabiny, tracąc przez to tak kosztowny czas.

Coraz ciaśniejsze koła zataczały rozjuszone bestje naokoło dwóch odważnych obrońców, książe nie miał nawet czasu mierzyć, tak następowały na niego ze wszystkich stron. Wreszcie udało mu się najśmielszych położyć trupem, — odetchnął swobodniej, — zostało ich tylko osiem sztuk, a i te widząc, że nic nie wskórają, przerażone ciągłymi strzałami i wybłyskami ognia z rur karabinów, powodowane właściwą im tchórzliwością, jeżeli się znajdą w mniejszej kupie, porozpraszały się w cieniach nocy.

Anielcia leżała w powozie na pół nieprzytomna, — ale widząc uciekające ostatki zasyłała do nieba szczerą modlitwę dziękczynną. Dziękowała, że udało się temu mężczyźnie, którego się tak obawiała, którego tak nienawidziła, obronić ją przed straszną śmiercią.

Książę i Iwan poczęli tymczasem oglądać szkodę u powozu przy świetle latarni. Była dość znaczną, — Iwan oświadczył że sam nie zdoła tego naprawić.



Słynna mistrzyni świata Sonia Henie popisywała się na sztucznem lodowisku w Berlinie, tańcząc m. in. na łyżwach mazurka.

Anielcia spostrzegła, że brwi księcia ściągnęły się gniewnie, złościło go widocznie, że musieli w najbliższej wsi stawać. Będzie zapewne zmuszony przeczekać w zajezdnym domu, a kto wie jak długo potrwa ta reperacja koła. Ostrożnie przymocowali je wiążąc o ile możności sznurami. Konie musiały powolnym krokiem ciągnąć karocę przez las, książę szedł obok doglądając z troską na czole, czy powóz nie ucierpi przez to jeszcze więcej.

Na szczęście i to niebezpieczeństwo przeszło bez szkody, w dwie godziny później wyłoniła się z cieni nocy jakaś niewielka wieś, licząca może około trzydzieści domów.

„Iwanie, tam w tej wsi musisz się zatrzymać, podwieź nas do domu zajezdnego, potem wyszukaj kowala. Powiedz mu, żeby zreperował tę szkodę u koła w jak najkrótszym czasie“.

W sercu Anieli poczęła się rodzić nowa ale słaba nadzieja. W każdym razie dużo znaczyło dla niej, że spotka się z obcymi ludźmi, których niezna, że nie będzie spoglądać wiecznie na księcia i Iwana. A może ci obcy ludzie jacy poczciwi, może będzie im się mogła poskarżyć, opowiedzieć im swą krzywdę. Zresztą będzie pewnie także jaki oddział żandarmerji lub policji, przecież i w największej dziurze czuwa oko prawa.

„Tak, muszę uciec!“ rzekła Anielcia sama do siebie, „muszę uciec, choćbym się miała przez to wystawić na jeszcze większe niebezpieczeństwa, choćbym miała błądzić aż do samego serca Rosji, — przecież uda mi się może dotrzeć do granicy, — może będę jeszcze widziała Kazimierza! O Panie w niebiesiech, wspieraj mnie, — pobłogosław moje zamiary!“

Anielcia spostrzegła, jak książę wpatruje się w nią bezustanku, jakby chciał odgadnąć jej tajne myśli, widocznie domyślił się jej planów, bo słaby, ironiczny uśmiech zaigrał mu na ustach.

Powóz zatrzymał się przed jakimś nędznym domem, — przed rzekomym do-

mem zajezdnym. Iwan zeszedł z kozła i zapukał do drzwi. Długo trwało, zanim się zjawił gospodarz. Był to jakiś niesympatyczny człowiek o skośnych oczach, — z niezadowoleniem popatrzył na obcych. Ufać mu wiele nie było można, ale cóż pozostawało innego księciu, jak przenocować choćby w tej budzie. — Przedewszystkiem upewni się, że dom ten miał tylko jedne drzwi i jedno wyjście.

„Dobrze, batiuszka!" odezwał się gospodarz, kłaniając się niezręcznie przed nieznajomym, „zaraz każę przygotować dwa pokoje".

Pobiegł skwapliwie do swojej córki Natalki, aby ją zawiadomić, że przyjechali jacyś nieznajomi, od których może, na będzie parę rubli zarobić.

Anielcia, usłyszawszy, że gospodarz ma córkę, powzięła tem większe przekonanie, że plan jej się uda. Uważała to za zrządzenie boskie, dziękowała już w duchu, że Bóg jej zsyła anioła zbawczego.

Przecież dziewczyna nie odmówi pomocy drugiej dziewczynie, zrozumie ją i zlituje się, poda jej chętnie pomocną rękę, — wyzwoli, uwolni ją z rąk znienawidzonego księcia. —

Książę Slatkow podał ramię Anielci i poprowadził ją po schodach do góry. Gospodarz, który już zawiadomił swoją Natalkę o przybyciu gości, wydawszy jej potrzebne zlecenia i instrukcje, poszedł teraz z nieznajomymi. Szedł przodem, trzymając jakąś zakopconą latarnię. Przy słabym blasku tejże ujrzała Anielcia całe nędzne urządzenie domu.

Pokoje na górze były strasznie licho umeblowane. W pierwszym pokoju było prawie próżno, tylko jakiś stół i dwa stołki stanowiły całe urządzenie tegoż; później dopiero wniesiono dwa nie bardzo apetycznie wyglądające łóżka. — —

Pierwsze spojrzenie Anielci zwróciło się do okna. Bogu dzięki, nie było zakratowane, pokój także nie leżał tak wysoko, aby nie można było się odważyć na skok w dół.

„Anielciu", odezwał się książę, prowadząc ją do drugiego pokoju, „ta izba musi ci dzisiaj służyć za sypialnię! Spodziewam się, że nasz niedobrowolny pobyt w tej nędznej chałupie nie potrwa długo! Zresztą możesz spać spokojnie, — ja będę cię strzegł!"

On będzie jej strzegł! To było właśnie, czego się Anielcia obawiała, o wiele pożądańszem by jej było, gdyby się położył i zasnął, nie troszcząc się dalej o nią.

„Ja będę zaraz tu w pierwszym pokoju!" ciągnął książę dalej, „na każdy wypadek będę miał pod ręką mój nabity rewolwer, — w razie, gdyby przyszła ochota naszemu gospodarzowi przeglądnąć nasze kieszenie lub portmonetki, przyjmę go jak się należy! — Proszę spać spokojnie, Anielciu! Ale prawda, jeszcze jedno! Proszę cię, Anielciu, nie staraj się uciekać! Zamiar taki nie udałby ci się, za to ci ręczę, ja umiem dobrze pilnować i mam, dobre ucho, zresztą Iwan jak tylko się załatwi w kuźni ma nakazane stać pod twojem oknem jako straż, — na niego mogę się spuścić w zupełności. Tuż pod drzwiami będę sam pilnował, na dole Iwan, a więc zaniechaj jakichś dziecinnych zamiarów. Skok na dół mógłby ci tylko zaszkodzić, nadwyrężyć nogę, zaszkodzić zdrowiu, a nie przydałby się absolutnie na nic. Innego wychodu jak i okno nie posiada ten pokój! A teraz dobranoc! — Życzę ci przyjemnych snów!"

Książę znikł w przyległym pokoju, Anielcia została sama z rozpaczą w sercu! — Niedługo trwało, — usłyszała na dole pod oknem jakieś kroki, — wychyliwszy się z okna, zobaczyła ogromną postać rosyjskiego sługusa, ubraną we futro, przechadzającą się tam i nazad.

XLII.

Śnieg i lód.

Anielcia była przekonaną, że książę, czuwający w bocznym pokoju, nie da się pokonać potrzebie snu. Już przez całą drogę podziwiała jego silną naturę i energję co do pokonywania się w tym kierunku. Ten dziwny człowiek nie spał podczas całej podróży prawie ani razu, wyjąwszy małe drzemki, o których nie warto nawet wspominać, — wiedziała, że i teraz nie pozwoli sobie na żadną wygodę.

Z drugiej strony jednak rozumowała, że musi wykorzystać w jakiś sposób tę sposobność, która kto wie, czy jej się trafi jeszcze w dalszej podróży. Nadaremnie łamała sobie głowę.

Nagle otwarły się drzwi.

Jakaś dziewczyna w rosyjskim chłopskim narodowym stroju zjawiła się w jej pokoju, niosąc samowar i stawiając go na stół.

Drzwi zamknęły się zaraz po jej wejściu, więc Anielcia mogła się odważyć przemówić do niej.

„Natalka", wyszeptała Anielka po polsku cichym głosem, „słuchaj, ratuj mnie, ja jestem bardzo nieszczęśliwa, zmiłuj się nademną, pomóż mi, — Bóg ci to hojnie wynagrodzi!"

Młoda wieśniaczka popatrzyła na nią zdziwionym wzrokiem, ale widocznie nie rozumiała ani słowa po polsku, bo poruszyła tylko ramionami.

Anielci pozostawała tylko jedna droga porozumieć się z nią, jednem narzeczem na to narzecze kładła całą nadzieję, wiedziała, że tem narzeczem porozumiewają się Rosjanie z obcymi — język francuski. Anielcia władała doskonale tym językiem, była przecież wychowaną w Paryżu. Stary Dubois wyćwiczył ją znakomicie w obu językach. Poczciwiec ten ze względu na jej matkę, która była Polką, nie pozwolił jej zapomnieć ojczystego języka, wiedział zresztą, że prędzej czy później powróci do swego rodzinnego kraju z ważną misją, ważnem zadaniem.

Polski język zawiódł ją, a więc musi spróbować porozumieć się po francusku. W duszy powątpiewała bardzo, czy rosyjska wieśniaczka potrafi po francusku, skądżeby się miała nauczyć, przecież szkół nie kończyła, — a może, — może była gdzie w mieście, w jakim lepszym domu, może szczęśliwy przypadek zdarzył, właśnie, że się nauczyła tej obcej mowy.

Próbować musiała, więc na chybił trafił powtórzyła Natalce to samo po francusku, co jej przedtem zaszeptała po polsku.

Natalka potrząsła znowu głową i popatrzyła swojemi wielkiemi, przestraszonemi oczyma na Anielkę z pewnym smutkiem. Widocznie żal jej było samej, że nie mogła się porozumieć z tą ładną, sympatyczną panienką.

Anielcia załamała ręce. Twarz jej zdradzała przerażenie. Stoi przed nią ludzka istota, o której była prawie przekonaną, że musiałaby współczuć z nią, cóż kiedy nie może się porozumieć, — przepaść pomiędzy nią, a wieśniaczką, brakuje im najważniejszej rzeczy, — wspólnej mowy.

Nagle przystąpiła Natalka całkiem blisko do Anieli, położyła rękę na ustach robiąc zaprzeczające ruchy głową, potem wskazała na uszy.

„Głuchoniema!" zawołała Anielcia.

Promień nadziei przemknął jej przez głowę; wzniosła ręce ku niebu, dziękując za to ważne a tak korzystne dla niej odkrycie.

Tak, teraz spodziewała się napewne, że zdoła się porozumieć z biedną dziewczyną. Miała przecież w zakładzie doktora Morizano jedną taką nieszczęśliwą, której również brakowało mowy i słuchu. Przez kilkatygodniowe ćwiczenie i pilność przyswoiła sobie rozmowę na migi, jaką porozumiewają się ze sobą te biedne istoty niezdolne w naturalny sposób ze sobą rozmawiać.

„Tyś głuchoniema?" pytała Anielcia Natalki, pracując rękami, ustami i całą twarzą, chcąc jej dokładnie dać do zrozumienia swoje pytanie.

Młoda Rosjanka stanęła przez chwilę jak wryta. Była to chwila strasznego niepokoju dla Anielki, — teraz musiało się rozstrzygnąć, czy będzie można pozyskać tę dziewczynę dla siebie, — znaleźć wspólniczkę, pomocniczkę w młodej wieśniaczce.

Natalka podniosła ręce, — w mowie głuchoniemych odpowiedziała migami:

„Tak jest, słyszeć cię nie mogę, ale rozumiem cię".

Anielcia musiała całą siłą zapanować nad sobą, aby radosnym okrzykiem, który jej się z piersi wydzierał, nie zdradzić się. Musiała przecież użyć wszelkich środków ostrożności, aby książę nie dostrzegł, aby się nie dorozumiał, że potrafi się rozmówić z głuchoniemą na migi.

Może teraz już budziło się w nim podejrzenie z powodu, że młoda Rosjanka dłużej u niej bawiła, jak tego potrzeba wymagała.

„Ratuj mię", mówiła na migi do niej Anielcia, „ja nieszczęśliwa, zostałam gwałtem zawleczoną do Rosji przez mężczyznę, który mię tu przywiózł. Jeżeli masz litość nad nieszczęśliwą, wywiedź mnie niepostrzeżenie z tego domu i pokaż drogę do najbliższego miasta".

„Ten pan jest księciem", odpowiedziała jej głuchoniema, „potęga i władza jego jest wielka, — zabiłby mnie na pewno, gdybym ci mej pomocy udzieliła".

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

H-U-M-O-R

Zniecierpliwił się

Do lazaretu przynoszą oficera ranionego kulą w łydkę. Lekarze zabierają się do roboty. Przez kilka minut grzebią w ranie, oficer kilka razy mdleje. W pewnej chwili ze wściekłością pyta:

— Moi panowie, powiedzcie mi, czego tam chcecie:?

— Ano, chcemy z rany kulę wyjąć, a nie możemy jej znaleźć...

— Tak? Trzeba mi to było zaraz powiedzieć. Już oddawna mam ją w kieszeni...

Pieczeń z dzika to dobra rzecz

Antek: — Mówię ci, Felek, że pieczeń z dzika to pyszna rzecz!

Felek: — Nie może być! A kiedyś ją jadł?

Antek: — Wiesz, ja sam nie jadłem, ale moja matka opowiadała, że jej dziadkowi opowiadał jego szwagier, że znał jednego gościa co widział jak tam jeden jadł pieczeń z dzika. Mówię ci, uszy mu się trzęsły.

Naiwna

— Wiesz, mężusiu, ale te bliźnięta Capkiewiczów, co się kiedyś urodziły, nic a nic nie są podobne do siebie...

— Jakże to? słyszałem, że bardzo...

— Wcale nie! Jedno chłopiec, a drugie dziewczynka.

Co za czasy...

Mayer kupuje towar hurtem.

— Ile to ma kosztować?...

— Gotówką 782 zł 32 gr.

— O gotówce niema mowy... Dam panu wekselek...

— O wekselku niema mowy...

— Krótki wekselek... Na trzydzieści dni...

— Nie mogę przyjąć...

— Pan się boi tych trzydziestu dni?...

— Nie... Ja się boję tylko tych trzydziestu bezsennych nocy!

Nasze dzieci

Adaś po powrocie ze szkoły wręcza matce list od nauczyciela.

Matka po przeczytaniu powiada doń:

— Adasiu, twój nauczyciel pisze mi, że nie może sobie dać z tobą rady...

— No, widzisz... — odpowiada malec. — Zawsze ci mówiłem, że on jest do niczego...

Złotówka i dozorca

Znany kawalarz, aktor G. lansuje po kawiarniach nowy dowcip:

— Jakie jest podobieństwo między złotówką a dozorcą?

— Złotówka to forsa. Forsa to grunt. Grunt to ziemia. Ziemia to matka. Matka to anioł. Anioł to stróż. Stróż to dozorca.

Śmiertelny docinek

Ile właściwie „wiosen" liczyła sobie panna Scholastyka, tego najstarsi ludzie w okolicy powiedzieć nie umieli. Ona sama twierdziła wprawdzie, że ma już około trzydziestu lat, więc kierując się zasadą kobiecej arytmetyki, można było kręćka w głowie dostać, zanim doszło się do ładu w tak drażliwej materji.

Panna Scholastyka lubiła jednak uchodzić za młódkę i gotowa była śmiertelnie obrazić się na każdego, kto pozwoliłby sobie wyrazić najmniejsze powątpiewanie w tej mierze.

Kiedyś do panny Scholastyki, rezydującej w starym dworku na prowincji, zjechali na jej imieniny goście, krewniacy i znajomkowie. Stara panna oprowadza gości po wspaniałym parku swej rezydencji i pokazuje między innemi olbrzymi dąb.

— Ten dąb, proszę państwa, — powiada — pamięta czasy przedrozbiorowe i ma około 200 lat.

— To pani go sama sadziła? — zapytał ktoś z kochanych gości.

Konferencja rozbrojeniowa

(Z przemówienia jednego ministra) ... Miło mi jest zakomunikować panom, że pokój zagwarantowany jest obecnie na dłuższą metę, gdyż wszystkie narody uzbrojone są ponad normę i ponad istotną potrzebę...

OGŁOSZENIA DROBNE

Przewodnik po polskiem wybrzeżu Bałtyku i po ziemi kaszubskiej do nabycia w większych księgarniach lub w administracji naszego pisma. Cena zł 2,50. Książkę tą, którą powinien posiadać każdy turysta i każdy, zwiedzający polskie morze, wysyła nasza administracja bez doliczania kosztów przesyłki, po otrzymaniu należytości przez P. K. O.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł. 2,85. Pod opaską miesięcznie zł. 1,50, kwartalnie zł. 4,50 Zagranicą 1,50 zł miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8. Telefon 32.

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O Nr. 207.393.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł i td. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50%, zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50%. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca ALFRED KSYCKI — Redaktor odpowiedzialny MARJA ZEMMLERÓWNA — Drukarnia L. KSYCKIEGO w Żninie.